

*Mur szkolny fui, fuisti powtarza po łacinie  
a wielu z nas poznało śmierci prawdziwe imię.  
Ostatnie przeszły tą bramą gruz i kamienie  
zastygły w przejściu. I odtąd nic się nie zmienia.*

.....  
*żyć nie warto dla siebie, dla siebie tylko się trudzić,  
a los nasz nie jest ważniejszy od losu innych ludzi.*

## **Rozdział 15. Zmiana okupacji.**

*Ponad całe złoto ziemi, skarb skradziony z niemieckiego magazynu -  
przejście frontu - pod okupacją Armii Czerwonej – otwarcie szkół, zapal,  
entuzjazm, pęd do wiedzy – konspiracje uczniowskie – "kiedyż wybije  
godzina" - "zapluty karzeł reakcji" – "fuga na organy bezpieczeństwa".*

31 grudnia 1944, około godz. 9 wieczorem. Panował mrok, tylko na kaflach kuchenki co jakiś czas pojawiały się ciemno-czerwone odblaski. To co jakiś czas rozżarzały się na krótko podwieszane na haczykach spirale grzejne. Trzy oporowe druty 400 W połączono szeregowo i potem złożono równolegle w połowie, dołączając prąd w środku nowej całości i drugi raz wspólnie na końcach. Przy tak zwiększonym o około 50% oporze, moc spadała w każdym odgałęzieniu prawie o połowę, a całość miało znowu około 400 W. Ale to tylko w porywach, to jest kiedy od czasu do czasu napięcie w sieci zbliżało się do prawie normalnego. Napięcie zmieniało się nieregularnie. W zasadzie stale niższe, ale czasem wysiadało prawie całkiem, a czasem przez kilka lub nawet kilkanaście sekund osiągało wartość bliską nominalnej, 220 V. Do oświetlenia to się zupełnie nie nadawało, co najwyżej migocące żarówki mogłyby doprowadzić do oczopląsu. Dlatego po domach paliły się albo lampy naftowe, albo dające jasne światło, lecz niemiły zapach karbidówki.



Zastosowanie elektryczności do innych celów poza oświetleniem był surowo zakazane. Angus zawiesił więc na haczykach na sprzęt kuchenny to dziwne urządzenie. które miało niższą temperaturę i jarzyło się w sposób mało widoczny, a także szybko stygło. Można je było w sekundę zdjąć i

schować. Poza tym przy mniejszym obciążeniu jednostkowym i niższej temperaturze, druty przepalały się rzadko. Z drugiej strony, takie ogrzewanie miało niewielką moc i to z przerwami, jak się to mówi, błyskało jak kotu w ślepiach i niewiele więcej grzało. Tyle, że bez rozpalania ognia temperatura w małym narożnym pokoiku drewnianego domu, jednak była nieco wyższa od zera, gdy na dworze panował spory mróz, minus dwadzieścia kilka stopni. Zima wprawdzie nie była aż tak ostra, jak poprzednie wojenne, ale i tak dostatecznie. A więc fakt, że woda nie zamarzała w pokoju, można już uznać za sukces techniczny.

Za zamkniętymi okiennicami i drzwiami tego pomieszczenia okno było szczelnie zasłonięte po obu stronach szyby, a umeblowanie składało się z dwu łóżek, stolika, szafy i krzesła. Na jednym z łóżek leżał Angus, w ubraniu, tylko bez butów. Przykryty kołdrą i z poduszką na głowie, usiłował zasnąć, a przynajmniej odpocząć, bo zapowiadała się pracowita noc. Sen jednak nie nadchodził, a przed oczyma przesuwały się obrazy poprzednich dni.

Święta Bożego Narodzenia, mroźne i śnieżne, spędzili jeszcze w domu Jarugów. Wilia z konieczności bardzo postna i skromna, ale pierwsze święto wypadło wprost imponująco, na obiad była pieczeń z zająca z buraczkami. Szczerze mówiąc, obowiązki zająca pełnił Tom, ogromne czarne kocisko, ulubieniec rodziny Jarugów. Waleczny kocur wrócił do domu poraniony, tak czy owak nie można było mu pomóc i dobiecie zwierzęcia stanowiło akt miłosierdzia. Trudniej było go pochować przy wysokim śniegu i mocno zmarzniętej ziemi, więc został na dworze przysypany śniegiem do czasu, kiedy się ociepli. W tej sytuacji matka Angusa zaproponowała, że ona obedrze go ze skóry i upiecze. W pierwszej chwili wszystkich tym zaszokowała, nikt z Jarugów nie chciał przyłożyć ręki, ale w końcu głód przeważył. Tom, już oprawiony, ważył prawie 5 kg. To było naprawdę imponujące kocisko, prawie jak mała pantera i dobrze odżywiany. To też świąteczny obiad był obfity i pożywny. Trochę przypominał stypę, kota wspomnianego z żalem.

Mateusz szepnął po cichu do Angusa, że teraz powinni pociągnąć losy na przyszłość, czyja kolejka. Dość osobliwy żart. Na to Angus szepnął, że czytał, jak przed kilkunastu tysiącami lat zwyczaj stypy powstał jako pewnego rodzaju okup. Rodzina zmarłego składała takowy głodnym gościom pogrzebowym, gdy zapłakana wdowa przypaliła zwłoki. Stąd przyjął się następnie zwyczaj pogrzebów całopalnych z rekompensatą, w postaci poczęstunku dla gości. Chłopcy przywykli do obrzydzania sobie

jedzenie i nie takie rzeczy potrafili wymyślić na poczekaniu. W lesie, kto nie jadł, jego strata. Maciek miał specyficzne poczucie humoru, długi czas nie było okazji, ale teraz to nadrobił.

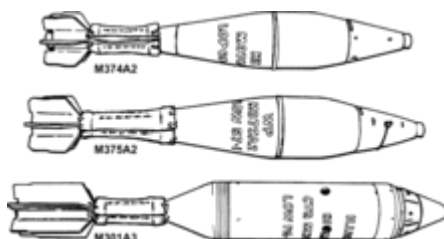
Zaraz po Świątach matka i ojciec Angusa powrócili do swego mieszkania i knajpy przy szosie. Lokal był cały czas zamknięty na głucho, okiennice zabezpieczone żelaznymi sztabami. Ale położony przy łuku szosy dom, a zwłaszcza wysunięty w stronę drogi lokal po prostu zachęcały do rabunku. Czegoś takiego przy przejściu frontu należało się spodziewać, a ojciec wpadł na niefortunny pomysł i postanowił jakoś zabezpieczyć mienie. Miał za sobą doświadczenia jeszcze z rewolucji w Rosji i świeższe z 1939 r, więc wiedział, jak się to robi. Wybrał za komórkami kilka metrów ziemi osłoniętej gęstymi świerkami, nie zamarznątej i w piaszczystym gruncie wykopał dół. Potem razem z matką wybrali lepsze rzeczy, jak np. ciepły płaszcz na futrze oraz futro matki i w ogóle wszystko, co cenniejsze. W ciągu kilku dni, w piasku i przy mrozie, to nie powinno ulec uszkodzeniu. I rzeczywiście nie zdążyło. Już następnego dnia, grupa zdziczałych maruderów w niemieckich mundurach wtargnęła do domu sąsiada, wzmiankowanego już, starego dziadka. Prowadził on od lat piwiarnię, ale prawie nie miał klientów i właściwie żadnego towaru. Zaczęli domagać się alkoholu, natychmiast, grożąc mu zastrzeleniem. Odludek, zdziwaczały i prawie nie widujący ludzi, gdyż odstraszał ich między innymi absurdalnymi, podwójnymi cenami, był śmiertelnie przerażony i na kolanach błagał o życie. Trudno powiedzieć, czy rzeczywiście nic nie miał, czy też chciwość i skąpstwo nie opuściły go nawet w obliczu śmierci, niewątpliwie nienormalne cechy spowodowane zmianami starczymi. W każdym razie przysięgał, że on nic nie ma, ale obok, tak, tamten lokal dobrze prosperował, a właściciele są bogaci i zakopali skarby.

Wtedy maruderzy włamali się do ich domu, wyciągnęli matkę i ojca, dając im do wyboru, albo natychmiastowa egzekucja, albo mają wskazać i odkopać te skarby. To też ojciec i matka, z łopatami w rękę, odkopali skrytkę. Najgorszy moment nastąpił, gdy Niemcy rozczarowali się na widok ukrytego tam, raczej mizernego łupu. Zapewnienia starego Wasilkowskiego spowodowały, że spodziewali się czegoś lepszego. Wyglądało na to, że rzeczywiście chcą zastrzelić właścicieli i zostawić ich trupy w tej jamie, nie zważając na ich błagania. Ostatecznie, biegły Niemiecki język matki i bimber spowodował, że od tego odstąpili. Wzięli futra i część ciepłych rzeczy, większość innych, które im się nie spodobały, rzucali na ziemię i deptali, część zniszczyli. W końcu jednak zostawili rodziców Angusa przy

życiu. Potem rozwalone drzwi i okiennice ze śladami uszkodzeń wskazywały, że ten dom został już obrabowany i dalsze gromady, ciągnące szosą, omijały go. Natomiast rozbity został także lokal po drugiej stronie szosy, gdzie nie było nikogo. Jednak popłoch jakoś tym razem opanowano i Niemcy jeszcze się nie wycofali, a następne dni minęły spokojnie.

Angus wrócił dwa dni później. Bardzo przejęty tym opowiadaniem zastanawiał się, co on by zrobił w takiej sytuacji. Zapewne coś głupiego i skończyłoby się znacznie gorzej.

Ale zauważył ważną zmianę. Wzdłuż pierwszego domu, ale już za płotem, na małej przesiece na której grywali kiedyś w piłkę, ułożona była pryzma amunicji. Prostopadle do szosy, długa na kilkanaście metrów, szeroka na trzy lub nieco więcej i wysoka około metra, pociski moździerzowe.



Podłużne, jak małe bomby ze skrzydełkami na ogonie, oczywiście wszystkie bez zapalników, więc niewrażliwe. Choć wybuchłyby w razie bezpośredniego trafienia artyleryjskiego. Eksplozja takiej ilości amunicji w odległości około 10 m od okien, no nie, nawet nie warto by chować się w piwnicy. Raczej tylko szybki start, oddalić się o co najmniej kilkaset metrów i potem dopiero szukać schronienia. Jednak, przede wszystkim myślał o czymś innym. Czy potrafiłby rozebrać te pociski i odzyskać z nich materiał wybuchowy? Lecz wkrótce potem dowiedział się, że niedaleko, przy ulicy Piaski znajduje się drugi, jeszcze większy magazyn. Zaraz poszedł to sprawdzić - rzeczywiście na skraju lasu, dokładnie tam gdzie ponad dwa lata temu uprawiał ziemniaki i pomidory, był. Na ogrodzonym terenie kościelnym, dodatkowo okolony drutami kolczastymi i pilnowany przez wartownika. Tutaj pryzmy zakryte były płachtami przysypanymi śniegiem i ustawione na deskach, wyglądały inaczej, nie jak pociski. Przez chwilę myślał, że zwariował albo ćmi mu się w oczach, gdy w jednym miejscu dostrzegł płachty rozsunięte na dole i ustawiony z jasnych cegiełek jakby mur. Najwyraźniej kostki trotylu. Całe rzędy, zestawione z tych kostek, mój Boże, to wprost nieprawdopodobne.

Zapasy złota w Fort Knox nie zrobiłyby na nim takiego wrażenia. Gdyby nawet powiodły mu się poprzednie zamierzenia, to ile materiałów wybuchowych mógłby wyprodukować - kilka Kg, w wyjątkowym wypadku kilkanaście? Kiedy próbował się dostać do oddziału Ponurego, tam mieli akurat na dwa pociągi, podobno sześć kg TNT. Tutaj leżały tony, całe podziemie polskie nie dysponowało taką ilością. Okazja życia.

Musiał istnieć jakiś sposób, żeby się do tego dostać. Ten dzień oraz noc z 27 na 28 grudnia poświęcił na zorientowanie się w sytuacji. Jeszcze za dnia przeszedł parę razy ulicą Piaski i następnie obszedł teren od strony lasu, aż do parkanu Kawiarskich. Po zmierzchu też i wreszcie wykradł się w nocy z domu w ciepłym ubraniu i kożuszkach. Leżał na śniegu ze trzy godziny na skraju przy drutach kolczastych od strony lasu, obserwując zachowanie i poruszanie się wartownika aż do końca zmiany i jeszcze jakiś czas. Nie ulegało wątpliwości, że warta pełniona jest niedbale. Strażnicy w ogóle nie obchodzili terenu dookoła, dreptali trochę od strony ulicy i chowali się w małej budce. Co jakiś czas odchodzili do domu Kawiarskich, gdzie widocznie zajęli kwaterę, pewnie, aby się ogrzać.

Następnego dnia Angus obszedł obiekt jeszcze raz, przypominając sobie każdy metr kwadratowy. Teren ten przekopywał łopatą i znał tu każdy kamień, a między drzewami, pod którymi rozmieszczono materiały wybuchowe, nieraz siedział albo leżał z książką, odpoczywając. Wszystko opasane starym ogrodzeniem kościelnym, tylko od ulicy dodano bramę z kratownicy drewnianej i drut kolczasty. Ponadto jeszcze parę zasieków od strony lasu, byle jak, prowizorka.

Tej nocy, Angus znowu wykradł się z domu, chyłkiem przeskoczył szosę i zagłębił w las. Przekradając się od drzewa do drzewa, dotarł do drutów kolczastych. Śnieg nie był sypki i świeży, ale mocno zlodowaciały, w czasie dnia operowało słońce i nadtopiło go, a potem znów przymarzł, utworzyła się skorupa. Ślady nie odbijały się, w każdym razie niewyraźnie, ale za to śnieg był "głośny", trzaskał i trzeba się było ostrożnie poruszać. Szczęście, że poprzedniej zimy, podczas forsownych wypraw na nartach, oswoił się ze strukturą śniegu, umiał go wyczuć. Ale i tak trzeba było poruszać się bardzo wolno, próbując każdego kroku. Tyle, że i bez jego ruchu w lesie rozlegały się różne trzaski, może to poruszające się gałęzie kruszyły lodową powłokę, a może te dźwięki ze zlodowaciałej skorupy wydobywał mróz. Odczekał przy zewnętrznych drutach, aż był pewien, że dobrze zlokalizował wartownika i potem rozchylił druty, zaczepiając dolny o wyższy i przeczołgał się dołem. Teren za ogrodzeniem był udeptany, tak, że

nie zachodziła obawa zostawienia śladów. Drugą linię drutów przybito wprost do drzew, pod którymi składowano materiały. Choć tej linii nie znał, po chwili znalazł miejsce, gdzie możliwy był dostęp. Miał przed sobą wysoki na półtora metra wał czy mur, ułożony ze znajomych kostek, podobnych do kawałków twardego mydła, każda z okrągłym otworem w środku, mniej więcej na mały palec. Po 400 g kostki trotylu, były też połówkowe, płaskie tabliczki, po 200g w skrzynkach z cienkich deseczek. Lepiej, niż szczerze złoto. Ile to rzeczy mógłby dokonać przed paru miesiącami, gdyby posiadał choć trochę tego bogactwa. A w poprzednim roku, mój Boże, przecież sam Ponury nie tylko przyjąłby do oddziału, ale nieba przychylił żołnierzowi, który przyniósłby ze sobą torbę takich kostek.

Było dość jasno, właściwie za jasno na śniegu, zwłaszcza gdy często ukazywał się księżyc. Jednak Angusowi udało się uszczknąć sporo trotylu do każdej z obu toreb i wycofać do domu. Tej nocy powtórzyć wyprawę jeszcze raz. Na razie umieścił przyniesiony trotyl w pokoiku i położył się, żeby do rana choć trochę pospać. Na prowizoryczny schowek wybrał komórkę, którą dysponował jako zbieracz odpadków, wykorzystując trochę pustych butelek i starego żelastwa dla osłony. Następnej nocy udało mu się przynieść jeszcze więcej, a ponadto zauważył miejsce, gdzie osobno leżały płaskie kręgi, miny talerzowe do zwalczania czołgów i ciężkich pojazdów. Jednak, na razie ich nie brał.

Tego wieczoru wcześniej położył się do łóżka, ale był zbyt podniecony i sen nie nadchodził, więc zaczął recytować z pamięci wiersze. Miał zamiar wyjść gdzieś po pierwszej w nocy, to najbardziej senne, a więc bezpieczne godziny. Ale przed nim jeszcze sporo tych godzin. Nie warto wstawać i próbować, przy tych czerwonych błyskach, odczytać coś na zegarku. Gdyby tak udało mu się w dwu torbach przynieść po dwadzieścia kg trotylu i nawrócić drugi raz, to by wystarczyło na... ile pociągów? Mógłby wysadzić w powietrze nawet budynek Gestapo, tylko gestapowcy już uciekli. A taka mina talerzowa, to po prostu potęga, Jeżeli jakiś czołg dobrze opancerzony, wytrzyma i tak, co najmniej utraci gąsienicę.

Był przekonany, że wcale nie zasnął, gdy z tego stanu wyrwały go odgłosy coraz gęstszej strzelaniny. Zerwał się do zamkniętego okna, a nie mogąc się zorientować wyszedł do sionki i otworzył drzwi. Ze wszystkich stron w niebo biegły kolorowe paciorki, a od czasu do czasu rozbłyskały nawet rakiety. Nalot, czy może już przejście frontu? Nie, to strzelanina zupełnie bez sensu, wyglądała jak zbiorowe szaleństwo. Dopiero po chwili dotarło do niego: to żołnierze frontowi, cieszyli się, że dożyli roku 1945.

Każdy walił w niebo wszystko co miał, marnowali cały posiadany zapas amunicji. Angus nigdy czegoś podobnego nie widział. To się mogło zdarzyć tylko w zdemoralizowanym wojsku, w którym nie istniała dyscyplina. Rozumiał ich nadzieję, że to już ostatni rok, ale, po prostu nie do wiary, dawniej nie mogłoby się zdarzyć. W każdym razie dzisiejszą noc mógł sobie darować, nie było mowy o wyprawie, wrócił do łóżka się wyspać. Niemców ogarnął amok, zaczęło się jeszcze przed dwunastą i hałas wciąż rósł. Tej nocy wątpliwe, żeby poszli spać, pewnie będą się włóczyć do rana.

Następny dzień był cichy i spokojny, trochę mglisty. Niby mróz lżejszy, ale przykry ziąb. Angus wyruszył wyjątkowo wcześniej i korzystając z sytuacji przyniósł dwa wielkie ciężary, potem już nie miał siły wyruszyć trzeci raz, nawet gdyby tam było już nie złoto, ale nawet diamenty. Chyba, że spłonki i zapalniki, ale nic z tych rzeczy, spłonek i zapalników nie wolno magazynować przy materiałach wybuchowych. Niby oczywiste, ale wielka szkoda, bez tego ma tylko pół szczęścia. Kostkami trotylu można by palić w ognisku, a i tak nie mają prawa wybuchnąć, chyba przypadkowo, jeżeli leżały długo w kontakcie z metalem. Ale miał nadzieję, że jak zdobędzie materiały wybuchowe, to znajdą się tacy, co będą mieli potrzebne dodatki. Muszą się znaleźć. Na razie zastanawiał się, czy numer 48a z jego zeszytu, mieszanina pyłu cynkowego z siarką, zdołałaby zdetonować trotyl. Może większa ilość jednak tak? Co za szkoda, że pomyślał o tym tak późno, wczoraj w tym zamieszaniu można by wypróbować.



Trzeciego stycznia Niemcy zniknęli nagle, jakby ich nigdy nie było. Ludzie mówili, że uciekli już na dobre i że widziano żołnierzy rosyjskich. Ale nikt nie wychodził z domu, dopiero koło południa Angusowi udało się na krótko wyrwać. Rzeczywiście zobaczył z dala, na równoległej do szosy ścieżce którą często chodził do kolegi, trzech żołnierzy w bardziej zielonkawych mundurach i hełmach innego kształtu,

idących ostrożnie w kierunku kolonii. Wolał się nie pokazywać ani nie zbliżać, szli z gotową do strzału bronią w rękach, chyba spięci.

Ostrowiec miał szczęście, przejścia frontu nie było. Niemcy uciekli w nocy, a Rosjanie wkroczyli bez walki, z początku ostrożnie. Dopiero pod wieczór zaczął się intensywny ruch na szosie, którą ciągnęły oddziały

wojska. Dowiedział się, że jeden z większych huków w ostatnich dniach, to było wysadzenie mostu kolejowego. Więc cały transport odbywał się szosą, pojazdami motorowymi. Wielkie szczęście, że uciekający Niemcy nie wysadzili w powietrze żadnego ze składów amunicji, tego na wprost okien z pociskami moździerzowymi, ani materiałów wybuchowych przy ul. Piaski. Może to brak dyscypliny i demoralizacja tyłowych oddziałów, a może niżsi dowódcy zdali sobie sprawę, jaka masakrę ludności to mogło spowodować i świadomie nie wykonali rozkazu. Wiadomość o przerwaniu frontu na przyczółku Baranowskim przyszła niespodziewanie, nie starczyło by czasu na ewakuację ludności. Autor nie ma pojęcia, jacy to byli ludzie i czego można było po nich się spodziewać, ale spotkał już pierwszego przyzwoitego człowieka między Niemcami, mogli być i inni.

Jedynie trupy, jakie można było zobaczyć, to ci Niemcy, którzy nie zdążyli uciec. Tu i ówdzie, Rosjanie znajdowali jeszcze pojedynczych Niemców. Jeżeli nie zabili ich natychmiast gdy szli jeszcze z palcem na spuście, jeżeli odprowadzili pod strażą do swego oddziału lub na tyły, to jeńcy mieli niezłą szansę na przeżycie. Dużo większą od polskich partyzantów, których żołnierze rosyjscy wprawdzie traktowali z początku przyjaźnie jak sojuszników, ale potem musieli przekazywać służbom specjalnym i rzadko kto wrócił po wojnie. No i oczywiście bez porównania większą, niż jeńcy rosyjscy, którzy wpadli w ręce Niemców. Jednak kilka trupów leżało przy szosie. Źle trafili, gdy wyszli z ukrycia, na nerwowych Czerwonoarmistów. Ale Angus widział takich, których prowadzono w stronę miasta, bez żadnych szykan czy prześladowań.

Kilka dni przez Ostrowiec jechały oddziały Armii Czerwonej, bardzo różnie się prezentujące, ale potem koło mieszkania Angusa zatrzymał się całkiem inny oddział. Żołnierze nie mieli karabinów, tylko łopaty i nie wolno im było wchodzić a nawet zbliżać się do domów, w ogóle oddalać się dalej niż na kilka kroków. Byli niezwykle zdyscyplinowani i posłuszni, natomiast ich szarże traktowały tych żołnierzy - nie jak zwierzęta, bez porównania gorzej. Ponieważ nie wolno było podejść do domu, ukradkiem podawało im się "kipiatok" (gorącą wodę) i właściwie niewiele więcej, ci ludzie obywali się niczym. Cywile wprawdzie z konieczności też, ale jednak mieli domy, a ci biedacy leżeli pokotem na dworze, w śniegu. Ubrani byli podobnie, jak wszyscy rosyjscy żołnierze w nie widywane tutaj ubrania, pikowane jak kołdry. Ludzie mówili, że te tzw. waciaki, wywodzące się z więzień i obozów dalekiej północy, zdecydowały o zwycięstwie nad Niemcami. Proste, tanie i szczerze mówiąc nędzne ubrania, umożliwiały jednak przeżycie przy niskiej

temperaturze. Nie mówiąc teraz, co to było za życie, ale faktem jest, że na przykład skazańcy na Syberii, miesiącami nie wychodzący z takiej brudnej i odrażającej powłoki, mieli jednak szansę na przetrwanie zimy. Przed wprowadzeniem tego prostego wynalazku, raczej nie.

W 1941 roku, ostatnie docierające na front rzuty Armii Czerwonej już w okresie wielkich mrozów, to byli przeniesieni do wojska więźniowie, często całe oddziały więzienne przemianowano na wojskowe. Tylko wydano broń, ludzie ubrani byli jeszcze nadal w ciemne waciaki, te same stroje, które nosili dotąd jako więźniowie. Okazało się niespodziewanie, że zachowują oni zdolność do działania tam, gdzie inni żołnierze tysiącami zamarzali. W magazynach gułagów były miliony takich strojów, wystarczyło te zapasy pofarbować nie na czarno, ale na kolor sortów mundurowych i ubrać w nie całą armię. To takie proste, dwie warstwy impregnowanej tkaniny i wata w środku, a rozstrzyga o życiu lub śmierci.



Nie było kłopotów z zaopatrzeniem, bo produkcja od dawna szła w masowej skali. Tymczasem po drugiej stronie, z frontu do Niemiec, jechały pociągi zamrażniętych trupów i odmrożonych kalek. Wehrmacht rozpaczliwie ratował się zbieraniem, czy raczej zdzieraniem futer lub skór z cywilów, konfiskatą bez zbędnych formalności, rabunkiem każdej sztuki ciepłej odzieży. Armia Czerwona, nie stroniąca bynajmniej od rabunku, tego problemu akurat nie znała. Obecnie wszyscy żołnierze nosili waciaki. Tyle, że żołnierze mieli czasem możliwość zdjąć je i ewentualnie się umyć, natomiast ci z batalionów karnych, nie. Nosili wojskowe zielone, a nie czarne ubiory, odróżniały się one jednak nie tylko tym, że były brudniejsze, ale i bardziej podarte. Przeważnie wata wyłaziła w kilku miejscach i to był problem, bo przenikała do środka woda. Dziury zaklejali taśmą izolacyjną, elektrycy byli w cenie.

W ciągu paru dni, Angus ani razu nie widział kuchni polowej. Ci ludzie chyba ani razu nie dostali ciepłej strawy. Jedynie od czasu do czasu niektórzy z nich odważyli się poprosić o gorącą wodę, po czym natychmiast odchodzili, dziękowali po cichu. Raz dziennie wydawano im porcje jedzenia i szczytem luksusu było, jeżeli suchy chleb i co tam jeszcze dostali, mogli pokruszyć i wrzucić do wrzątku. Angus nie spotkał się z wypadkiem, żeby ich podoficerowie, czy może strażnicy naprawdę kogoś zabili, ale na własne

oczy widział, jak bili, kopali lub uderzali kolbą, bez widocznego powodu.

Niektórzy podziwiali nadzwyczajną odporność tych ludzi. Mówili na przykład: "Patrz, Ruski potrafi spać na śniegu jak my na pościeli. A Niemiec w takich warunkach, dawno by umarł". Ci, co tak mówili nie zastanawiali się, ilu Ruskich umarło przedtem na mrozie, aż z tego powodu właśnie, wprowadzono tą odzież. A poza tym, wytrzymali i przeżyli tylko najsilniejsi.

Parokrotnie przechodzące wojsko kwaterowało także w domach, za każdym razem krótko, spieszyli dalej. Zachowywali się jednak poprawnie i tylko raz doszło do sytuacji, mrożącej krew w żyłach. Otóż jak wspomiano, na małej łączce czy też polanie za ogrodzeniem, na wprost okien domu, Niemcy zmagazynowali wielki stos pocisków moździerzowych. Początkowo były przykryte, ale następnie ktoś zabrał płachty, a podłużne pociski, przypominające małe bomby z lotkami na ogonie, obsuwały się. Prostokątna z początku pryzma zamieniła się na usypisko. Otóż kierowca wojskowej ciężarówki założył się z dwoma innymi żołnierzami, którym takie sąsiedztwo przy kwaterze się nie podobało, że te pociski są absolutnie bezpieczne. Na dowód, on wjedzie na tą pryzmę swoim samochodem. Zakład stanął o litr spirytusu i od tego momenty nie było siły, żeby to powstrzymać, stawka była poważna. Niedwuznacznie zaznaczono, że protestujący mogą zarobić kulę w brzuch. Zresztą nie było czasu na zorganizowanie opozycji, ani na nawet na poinformowanie innych mieszkańców, co się dzieje. Zainteresowane strony natychmiast przystąpiły do rozstrzygnięcia zakładu. Angus powstrzymał matkę od schodzenia do piwnicy, nie było sensu się chować, a tylko mogła by skręcić nogę na drabinie. Wybuch był raczej nieprawdopodobny, ale gdyby jakimś cudem się zdarzył i taka masa amunicji eksplodowała, to piwnica i tak zostałaby zgnieciona i zasypana. Nastąpiłoby istne trzęsienie ziemi w okolicy, a na ucieczkę gdzieś dalej nie starczyło czasu. Ale oczywiście jej tego nie powiedział, tylko zapewnił, że nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa. Ciężarówka równie dobrze mogłaby wjeżdżać na stos kamieni, najwyżej się przewróci, a kierowca potłucze.

Wielka maszyna, zdaje się, produkcji amerykańskiej, z rykiem rozrzucała przez chwilę pociski i w końcu wspięła na pryzmę, kierowca był jednak niezły i dał sobie radę. Dla zademonstrowania klasy jazdy jeszcze ze dwa razy podjechał do przodu i ponownie do tyłu, rozrzucając dalsze pociski i potem triumfalnie wrócił na ziemię. Nie było żadnej wątpliwości, wygrał zakład i zasłużył na nagrodę.

W tym okresie Angus miał mało okazji na nocne wyprawy do składu

materiałów wybuchowych przy ul. Piaski. Mógł robić to tylko wtedy, gdy w pobliżu nie kwaterowali żołnierze. Potem jednak wojska przesunęły się do przodu i zapanował względny spokój. Żadnej straży ani przy nieforemnym stosie rozsypywanych pocisków moździerzowych, ani przy porządnie ułożonych materiałach wybuchowych koło ul. Piaski nie było. Tyle, że to drugie znajdowało się za ogrodzeniem z drutów kolczastych.

Angus w sumie odbył kilkadziesiąt takich kursów, należało korzystać z okazji, bo przecież taki stan nie mógł trwać wiecznie. Zachowywał jednak absolutną tajemnicę, nie zdradził się przed nikim, nie tylko rodzicami, ale nawet Maćkiem Jarugą. Wymykał się w nocy jak duch, zachowując wszystkie środki ostrożności, aby się na nikogo nie natknąć. Nie musiał wprawdzie obawiać się wartownika na terenie składu, ale wystrzegał się, żeby go nawet przypadkiem nie zauważono z okien domów po drugiej stronie ulicy, lub okoliczne psy nie zaczęły szczekać. Okna wprawdzie były ciemne i zapewne wszyscy spali głęboką nocą, ale przecież wystarczyłoby, żeby ktoś przypadkowo przebudzony dostrzegł ciemną sylwetkę poruszającą się na terenie magazynu. Zaczęto by o tym gadać, a przecież w jednym z tych domów mieszkał znany, przedwojenny komunista wraz z rodziną, obejmującą gromadę wścibskich bachorów. Ich ojciec był członkiem jakiegoś ważnego komitetu, gdy nie żarli się między sobą, naradzali się też, jak najlepiej zwalczać "reakcję". Na razie władza PPR nie była jeszcze wprowadzona i nie odczuwano jej, tym bardziej rozdmuchaliby sprawę jako spisek na bezpieczeństwo Armii Czerwonej, żeby się wykazać.

Angus zachował więc taką ostrożność, jak za czasów niemieckich i wszystko szło dobrze. W komórce rósł stale stos kostek trotylu, zastawiony od frontu odpadkami użytecznymi (stary metal i szkło). Przy końcu stycznia, zgromadził już ponad 600 czterysta gramowych kostek i sporo 200g, ponadto kilkanaście min talerzowych i nadal nie szczędził sił.

Żeby usprawiedliwić swój wyraźnie zmęczony wygląd i ospałość we dnie, zaczął demonstracyjnie powtarzać cały program gimnazjalny, robiąc notatki - i nawet zeszyty przedmiotowe, raczej coś w rodzaju starożytnych zwojów. Wprawdzie nie papyrusu, ale wobec braku zeszytów, pociął arkusze papieru pakowego na długie pasy i nawijał na patyki, przywieszając etykiety, na wzór ksiąg z Biblioteki Aleksandryjskiej.

\* \* \*

Nowa okupacja nie była z początku zbyt dotkliwa, zwykli ludzie mieli

wiele innych powodów do zmartwienia. Przejście frontu mogło być groźne, ale obawy okazały się większe niż rzeczywistość, raczej niespodzianka na plus. Później doświadczenie nauczyło, że każda nowa zmiana z początku przynosi ulgę, dopiero po pewnym czasie zaczyna się dokręcanie śruby i ucisk rośnie. Zresztą na okupację obcych wojsk i wynikające z tego stosunki, patrzono wówczas jak na sytuację przejściową, która ulegnie poprawie, gdy tylko skończy się wojna. To, że nowy okupant władze administracyjną przekazał całkowicie w ręce PPR, jedynej nielicznej organizacji, całkowicie podporządkowanej okupantom, nie było niczym dziwnym. Przecież PPR utworzono z inicjatywy samego Stalina, przez nadesłane z ZSRR i zrzucone na spadochronach grupy inicjatywne, właśnie w tym celu. Z początku to nie wydawało się mieć większego znaczenia, ta władza była niesprawna. W pierwszych tygodniach władze, przy minimalnym poparciu nie zainteresowanego społeczeństwa tworzyła różne komitety, które zajmowały się głównie organizowaniem i podgryzaniem się we własnym gronie. Ewentualnie robiła gesty na pokaz, w rodzaju wieców, których organizatorzy wobec milczącej widowni wyrażali wdzięczność Armii Czerwonej za wyzwolenie. Pewnie, gdyby ta Armia po pobiciu Niemców sobie poszła, to mimo, że przyszła tutaj we własnym interesie, a nie w celu niesienia pomocy Polakom, mogłaby liczyć na wdzięczność. Nawet mimo fatalnej przeszłości, kiedy Polaków mordowano wspólnie z Hitlerem. Na razie sojusznik budził uzasadnione obawy. Lepszy efekt dawało pokazywanie polskich żołnierzy w autentycznych polskich mundurach, chociaż trochę zbliżonych do rosyjskich. Jeżeli jeszcze ci żołnierze, a zwłaszcza oficerowie, umieli mówić po polsku, budzili prawdziwy entuzjazm. Zwykle w takich wypadkach, w prywatnej rozmowie po cichu, wyrażali te same nadzieje, które żywiło społeczeństwo, na nadejście prawdziwej wolności. Te wiadomości przynoszono z wieców i powtarzano, po cichu.

Władza nie mogła działać efektywnie, po prostu nie miał jej kto sprawować. Okupanci powołali i obsadzili struktury w rodzaju Rządu Tymczasowego w Lublinie, ale nie mieli kadry ludzi wykształconych, ani w ogóle jakkolwiek przygotowanych do pełnienia funkcji w terenie. PPR, powołana na rozkaz Stalina w roku 1942, miała mało członków i nie wiele więcej zwolenników choćby z tego powodu, że dawna kadra komunistyczna została przetrzebiona jeszcze przed wojną. Na rozkaz Stalina, wszyscy ważniejsi działacze komunistyczni otrzymywali pilne wezwania do stawienia się w ZSRR. Wtedy jeszcze w Moskwie działał Komintern i KPP mu podlegała; wyruszali i znaleźli tam śmierć. Była mała szansa. Jeżeli dany

komunista np. był aresztowany i siedział w więzieniu, albo z innych powodów mimo najlepszych chęci nie zdołał nielegalnie przekroczyć granicy i nie dotarł do ZSRR, dzięki temu ocalał życie. Pod tym względem, tragedia KPP nawet się nie umywała do tego, co działo się w KPZR, gdzie kadre partyjną wymordowano znacznie dokładniej. Możliwość uratowania się z tzw. czystek praktycznie nie istniała. To zasadnicza różnica, mimo wszystko władza Stalina nie sięgała do Polski, a w każdym razie nie była tak wszechmocna. Dlatego „wymieniono” kadry kierownicze partii nie tak kompletnie. Często na miejsce zamordowanych automatycznie wchodzili ich zastępcy, dawni towarzysze i przyjaciele. Z tego powodu, Stalin nakazał całkowite rozwiązanie KPP z uzasadnieniem, że roi się ona od fałszywych komunistów, kapitalistycznych prowokatorów i agentów do tego stopnia, że naprawa jest niemożliwa.

W rezultacie Komunistyczna Partia Polski nie istniała przez ostatnie dwa, praktycznie trzy lata przed wojną, a także pierwsze dwa lata wojny. Nawet na terenach pod sowiecką okupacją, dawni towarzysze mogli co najwyżej prosić o przyjęcie na nowo do Komunistycznej Partii Ukrainy lub Białorusi. (Według pokrętej argumentacji, nie stanowiło to zaparcia się narodowości, co uzasadniano dłuższym wywodem o internacjonalizmie i proletariackiej świadomości). Ale nawet wtedy, staż w KPP nie stanowił dobrej rekomendacji, traktowano ich podejrzliwie. Natomiast na terenie GG, dawnych komunistów czasem wręcz wydawano Gestapo. W GG istniała i działała misja łącznikowa NKWD przy Gestapo, przez krótki czas ulokowana w Krakowie, potem przeniesiona do Zakopanego, a następnie ukryta, celem zmiany miejsca było zachowanie tajemnicy. Zorganizowano cztery konferencje większych delegacji NKWD i gestapo, pierwszą w Brześciu jeden dzień przed wspólną defiladą Wehrmachtu i Armii Czerwonej z okazji zwycięstwa nad Polską, obchodów przyjaźni i współpracy.



Pensjonat Telimena w dolinie Białego



Pensjonat Pan Tadeusz w dolinie Białego

Następna robocza konferencja w Przemysłu w listopadzie 1939. Najbardziej złowróżbne były konferencja w lutym 1940 w Zakopanym, kontynuowana metodycznie w marcu w Krakowie, gdzie ustalono, że docelowo do roku 1975 Polacy powinni być ostatecznie wymazani z Nowej Europy. Rzekomo doszło potem do spotkania na najwyższym szczeblu, Himmlera z Berią w Dworze Myśliwskim „Reichsjaegerhof Romniten”,



koło Gołdapi w ówczesnych Prusach Wschodnich. Oczywiście, otaczała to najgłębsza tajemnica i wówczas ani Angus, ani ruch oporu, ani wywiady, Polski i aliancki nie miały o tym pojęcia. Dopiero po wielu latach, na podstawie wspomnień lokalnych mieszkańców powiązano logicznie te wątki, ale nadal szczegóły są niepewne, zgadywane.

W każdym razie, NKWD i Gestapo ściśle współpracowały w zwalczaniu Polskiego ruchu oporu. Chociaż Sowietci zawsze zaprzeczali i nazywali ujawnione fakty oszczerstwem, nie stanowią one nawet połowy prawdy. Jak wiadomo, na paradzie zwycięstwa i przyjaźni w Brześciu Sowietci wydali w ręce Nazistów, niemieckich uciekinierów a swoich "tawariszy", komunistów z dawnej KPN. Tym bardziej, nie mieli zastrzeżeń w wydawaniu dawnych komunistów polskich, o ile nie szkodziło to wywiadowi ZSRR. Zwykle nie było takiej sprzeczności, zasadą było, że człowiek pracujący w wywiadzie Sowieckim nie może mieć powiązań z ruchem komunistycznym.

\* \* \*

***Kapsuła: Stalin rozbudowuje agenturę w Polsce.***

*Dopiero sporo czasu po napaści Hitlera na ZSRR, na początku 1942 r., za pozwoleniem Stalina rozpoczęła się odbudowa partii, lecz bez nazwy*

komunistyczna. Nowa nazwa miała brzmieć Polska Partia Robotnicza. Do jej reaktywowania Stalin polecił dobrać ludzi bezwzględnie mu oddanych. Ale i tak, na ziemi polskiej wysłano kilka konkurencyjnych tzw. grup inicjatywnych, które następnie wymordowały się wzajemnie, tak, by zostali tylko najbardziej posłuszni. Może celowo, żeby utwierdzić ich lojalność, uświadomić, że w każdej chwili mogą być wymienieni. W końcu zaś pełnia władzy przypadła nie żadnemu z działaczy, a kadrowemu oficerowi wywiadu ZSRR, który zgodnie z zasadami nie miał dotąd powiązań z ruchem komunistycznym. Wielokrotnie deklarował się jako bezpartyjny, aż do chwili, gdy po kilku latach został nagle i niespodziewanie pierwszym sekretarzem partii, bez wstępnego stażu. Mowa o Bolesławie Bierucie.

W miarę poprawy sytuacji wojennej ZSRR i zbliżaniu się frontu do Polski, Stalin wrócił do planu stałego podporządkowania tego kraju. Przeznaczono większe środki na rozbudowę PPR, i tzw. Gwardii, a następnie Armii Ludowej, jednak mimo to baza ludzka była wciąż nieliczna. W dużym przybliżeniu można przyjąć, że do chwili przejścia frontu, wpływy PPR objęły maks. 5% ludności, przeciętnie mniej-więcej tyle co ONR i NSZ. Oba ekstremalne kierunki miały charakter marginalny.

Po osiągnięciu ziem polskich, a nawet z pewnym wyprzedzeniem, nowi okupanci, wrócili do metod, które skutecznie zniszczyły starą i pozwoliły utworzyć nową partię komunistyczną. Posługując się oszustwem, tworzyli nowe ekspozytury. Np., wykorzystując nazwę istniejącej, znanej i dobrze notowanej w opinii publicznej PPS, utworzyli nową PPS, uniemożliwiając działanie dotychczasowej, legalnej, aresztując i mordując jej działaczy. Po „wrogim przejęciu” na giełdzie politycznej, doszło do tego, że o wiele bezpieczniej od socjalistów mogli się czuć ludzie zwalczający dawniej ich oraz komunizm, zwolennicy skrajnej prawicy. Naturalnie nie naziści, w Polsce takich nie było, ale na przykład przywódcy ONR lub NSZ. Działacz skrajnej prawicy, trafiał nieraz do więzienia jeżeli pozostał wierny swoim przekonaniom, ale mógł zwykle liczyć na ciepłą posadkę, jeżeli się ich wyrzekł. W wyławianiu prawicowych oportunistów specjalizował się np. Borejsza. Natomiast znany działacz PPS z reguły nie miał prawa przeżyć, a trzeciorzędny tylko jeżeli porzucił swoje ideały i przeszedł do sztucznego tworu, montowanego przez wywiad ZSRR i uległej mu PPR. Zaprzaniec mógł nawet zrobić karierę, np. Cyrankiewicz. Uczciwych socjalistów czekał zaś los Pużaka. Najczęściej likwidowano ich bez sądu i zbędnych ceregieli, po prostu kula w łeb i do piachu. Jeżeli już metody nieuczciwej konkurencji, to lepiej konkurentów likwidować szybko, bez zbędnego rozgłosu.

*Prawdziwych socjalistów traktowano jak konkurentów środowiskowych, bardziej niebezpiecznych, niż wrogowie. Wiadomo przecież, że także bolszewicy likwidowali w pierwszej kolejności mieńszewików, eserów i innych konkurentów do wpływów w tej samej klasie. Stalin mógł wchodzić w układy z wrogami klasowymi, siadał przy jednym stole z kapitalistą, ale trockistę czekała śmierć. Czy też, jak to określał w najpoczytniejszej książce wieku wyszukany językiem, gromił zwyrodnialców, degeneratów własnej partii, zgniłych zinowiewców, zwierzęcych bucharinowców i jak jeszcze brzmiały jego barwne określenia. Wykończyć konkurentów to obowiązek, trzeba się śpieszyć. Zając się wrogami to przyjemność, na potem.*

*Z początku trochę lepiej przedstawiała się sytuacja największego, Stronnictwa Ludowego. Też zagarnięto starą, dobrą nazwę dla nowego tworu agenturalnego, ale za cenę podporządkowania się przynajmniej oszczędzono ludzi. Ruch ludowy, w dużej mierze dla ocalenia ludzi, przystał na wymuszoną współpracę i dopiero po powrocie Mikołajczyka, gremialnie przeszedł do PSL i zapłacił cenę krwi za bohaterski opór. Lecz Stronnictwo Ludowe przed zniszczeniem PSL i potem, pełniło rolę, według słownictwa komunistycznego, transmisji PPR do mas chłopskich. Lub mówiąc normalnym językiem, podporządkowanej komunistom, pomocniczej agentury. Choć trzeba przyznać, zawsze starało się bronić swoich ludzi. Dzięki temu, zdołało się uratować wielu dawnych żołnierzy BCH, a przy tej okazji także AK. Ponieważ organizacje te były scalone (choć niecałkowicie), dawni partyzanci AK często podawali się za żołnierzy BCH.*

*Może się to wydawać nie zbyt wielką zasługą. Jednak agenturalna PPS, też posługująca się dobrą starą nazwą, gorliwie pomagała likwidować fizycznie dawnych działaczy. Zwłaszcza, kiedy chodziło o takich ludzi, którzy mieli znane nazwiska, kryształową opinię i autorytet społeczny. Różnica taka, że na przykład Witos umarł śmiercią naturalną we własnym łóżku (areszt domowy), podczas gdy Pużak zginął skazany i zamordowany, w więzieniu. A przecież obaj popełnili dokładnie to samo przestępstwo, zgodnie ze swoim sumieniem odmówili współpracy. Agenturalną PPS stać było na zwerbowanie do kierownictwa najwyższej działacza powiatowego szczebla, jak wspomniany Cyrankiewicz. Nie miał sumienia, bez skrupułów nurzał on ręce we krwi, nigdy nie kiwnął palcem, żeby kogokolwiek uratować i pomagał mordować ludzi, nawet z którymi niby się przyjaźnił i w przeszłości dużo zawdzięczał.*

*Wreszcie utworzona została jeszcze jedna transmisja PPR, pomocnicza agentura. Nosila dość dziwną nazwę, Stronnictwo Demokratyczne, co*

*mogłoby fałszywie sugerować, że w odróżnieniu od innych, ma coś wspólnego z demokracją. Było przewidziane do objęcia swoim wpływem środowisk, z których pochodził elektorat dawnej endecji i chadecji (ściślej tzw. Stronnictwa Pracy, z którym luźno związany był Sikorski). Choć podobno, wywodziło się z przedwojennych Dyskusyjnych Klubów Demokratycznych, o charakterze lewicowym.*

*Wiadomości o zmianach politycznych można było znaleźć w prasie, zdrożała, lecz nadal był stosunkowo tania. Oczywiście podawane w innym sosie, ale po wieloletniej praktyce w odczytywaniu prawdy między wierszami tzw. gadzinówek, wydawanych przez propagandę niemiecką, nauczono się odgadywać prawdę. Stopień zakłamania podawanych tam informacji był podobny. Mogło się wydawać, że gazety redagują ci sami ludzie, tylko dla innych zleceńodawców.*

*Z tych informacji wyłaniał się prosty obraz: ponieważ PPR nie było ani reprezentatywne, ani dość liczne, aby utworzyć rząd, zmontowano nowe dekoracje, na których umieszczano nazwy starych, dobrych firm. Przejęto je bezprawnie i siłą, zaś dawne kierownictwa tych partii i każdego, kto ośmielił się zaprotestować, zlikwidowano, a co najmniej uciszono.*

*Następnie na drodze mianowania, względnie dokooptowania starannie dobranych osób, powołano tzw. Krajową Radę Narodową, dekorację wyższego rzędu, która miała czasowo sprawować rolę parlamentu. Rada wybrała prezydiom KRN, niezależne od decyzji rady, lecz mające prawo powoływać i mianować lub odwołać nowych członków KRN, a więc dysponujące nadrzędną władzą. Ogłosiła ono za nielegalny Rząd Emigracyjny i miała stanowić legitymację dla Komitetu i przyszłego Rządu Tymczasowego, który nie miał żadnych legalnych podstaw, oprócz wsparcia Stalina. Oczywiście, żadna nieformalna grupa, grono lub stowarzyszenie nie może mieć legalnych uprawnień, żeby powołać nielegalny organ, Rząd Tymczasowy. Zwłaszcza, że istniał i działał przez całą wojnę legalny Rząd Polski na Emigracji wraz z Delegaturą w kraju. Tym bardziej zmieniać Konstytucję, rzekomo przywracając poprzednią. Ani wydawać dekretu, odstępującego na rzecz Sowietów, ponad 40% terytorium kraju, prawie cały obszar okupowany w 1939.*

*O PKWN i manifeście z dnia 22 lipca 1944 rzekomo po przekroczeniu przez Armię Czerwoną linii Curzona lub raczej Ribbentropa i Mołotowa, a faktycznie już kilka dni wcześniej, wspomniano już w rozdziale XII. Wszystko to stanowiło wielkie fałszerstwo, ale tym akurat Stalin się nie przejmował, teraz ani nigdy, przedtem czy potem. Zawsze postępował w*

*taki sposób, polecał stworzyć pozory i następnie po prostu kazał w nie wierzyć. Jeżeli ktoś spróbował wysunąć jakieś wątpliwości, cóż, sam siebie skazywał - tak jakby popełnił samobójstwo. Nie wierzy - znaczy wróg, należy z nim postąpić jak z wrogiem.*

*Jeszcze wiele lat po śmierci Stalina te metody się nie zmieniały. Pod koniec ery Breżniewa, Rosjanie zrzucili najpierw w Afganistanie spadochroniarzy, ci zlikwidowali pośpiesznie stary rząd i powołali nowego, Babraka Karmala, który natychmiast zwrócił się z prośbą o pomoc w postaci wojsk ZSRR. Nie mówiąc już o Węgrach i Czechosłowacji. Wydaje się, że najśrodsze marzenie Stalina i jego następców wyglądało tak: Gdyby możliwe stało się kiedyś zrzucenie desantu w USA, to spadochroniarze natychmiast mianowaliby nowego Prezydenta i sformowali Kongres. Te osoby zwróciłyby się niezwłocznie do ZSRR z prośbą o braterską pomoc i przysłanie swych wojsk. Związek Radziecki nie mógłby zostać obojętny. Dla dobra pokoju i w interesie postępu ludzkości, prośbę by spełnił ...*

\* \* \*

Jednak na razie, społeczeństwo Ostrowca z tymi sprawami się bezpośrednio nie zetknęło, wydawały się odległe i mało ważne. Stan przejściowy, z którym należy się na jakiś czas pogodzić. Wkrótce wojna się skończy, a wtedy na konferencji pokojowej sprawy się ułożą. Niewątpliwie Polacy będą mogli sami zdecydować o swym losie. Przecież to Polska była się pierwsza, zarówno swą polityką, jak i walką zabrała Hitlerowi czas. Bezcenny rok 1939, co zrujnowało jego plany i rozkład jazdy. Gdyby Hitler już w 1939r. pobił Francję - i następnie Anglię, albo zneutralizował ją, zmuszając do kompromisu, wypadki na światowej scenie potoczyłyby się inaczej. W każdym razie, wojna byłaby dłuższa i bez porównania krwawsza. Trudno zgadnąć, skąd wzięła się patologiczna nienawiść Hitlera do Żydów, ale nie trudno, jeżeli chodzi o Polaków. Właśnie dlatego, że przeszkodziwszy mu na starcie, uratowali skórę Anglikom, a pośrednio zapewne i innym, w tym także Rosji. Z tego powodu Polska płaciła przez cały czas wojny niewyobrażalnie straszną cenę, a przecież nie tylko wypełniła zobowiązania sojusznicze, ale nadal nie ustała w walce. To też nikt nie wyobrażał sobie takiej możliwości, że kraj zostanie rzucony na pastwę Stalina, zdradzony i opuszczony przez sojuszników. Oni wojną właśnie wygrywali, nie podobna uwierzyć, że swego sprzymierzeńca strąca na samo dno klęski, na los jakiego nie zaznały ani Niemcy, ani państwa

walczące po stronie Hitlera.

Teraz najważniejsze były wiadomości z frontów, a wynikało z nich, że koniec wojny rzeczywiście jest bliski. Ofensywa zimowa w Ardenach była ostatnim wysiłkiem Niemiec, beznadziejną próbą odzyskania inicjatywy. A swoją drogą, czymś w rodzaju cudu, Hitler jeszcze nigdy nie osiągnął tak wybitnych wyników jako dowódca wojskowy. Być może front zachodni znał najlepiej z własnych doświadczeń. Czerpał idee z ostatniej ofensywy niemieckiej w 1918 roku (kiedy rozczłonkowane i pozostawione własnej inicjatywie i inteligencji pododdziały niemieckie, bez planowania odgórnie operacji przełamania frontu, zdołały w setkach miejsc przeniknąć linię, nie sforsowaną przedtem pod dowództwem rutynowanych generałów).



Można przyjąć, że Niemcy wprowadzili wtedy po raz pierwszy i jedyny, do taktyki i strategii, elementy walki partyzanckiej.

W każdym razie rozpoczął sukcesem ponad wszelkie spodziewanie. Ale potem powtórzyła się sytuacja taka, jak w ostatniej ofensywie w 1918r: zabrakło sił do kontynuowania natarcia. Od momentu, gdy Amerykanom udało się w rozpaczliwym zrywie zorganizować okreśną obronę Bastogne, Niemcom zostały dwie możliwości: Albo przerwać bitwę, gdy minął moment zaskoczenia i jak najszybciej oderwać się od nieprzyjaciela,



którym jednak wstrząsnęli i który nie był w stanie ruszyć zaraz w pościg. Przez pewien czas zachowałyby się ostrożnie. Tak należało postąpić w razie konsekwentnego stosowania zasad walki partyzanckiej. Druga ewentualność to wprowadzenie w wyłom nowych jednostek i parcie za wszelką cenę do przodu, zostawiając słabe siły do blokowania otoczonych Amerykanów, pozorując przygotowania do szturm. Niemcy wybrali trykanie głową w mur, potem nie mieli już rezerw, które mogłyby przejąć i dalej prowadzić atak. Hitler postąpił jak nieodpowiedzialny dzieciak któremu nie udało się zbudować z klocków zamierzonej budowli: zostawił rozrzucone zabawki i poszedł do łóżka. Gorzej, nie pozwalał bałaganu po sobie posprzątać generałom, których sam wybrał jako najlepszych. Manteuffel proponował przerwanie walki i cofnięcie się już 24 grudnia, Model dwa dni później. Do tego czasu, operacja „Wacht am Rhein” stanowiła sukces. Alianci nie zdecydowaliby się na pościg. Hitler zawsze był hazardzistą. Ryzykował i porzucił na zniszczenie - nie zabawki, a ostatnie dyspozycyjne siły niemieckie. Reszta związana była rozpaczliwą obroną.

Gazety komunistyczne pisały, że Związek Radziecki, w odpowiedzi na rozpaczliwe błagania Aliantów o pomoc, rozpoczął ofensywę i uratował sytuację. Nie była to prawda. Armia Czerwona uderzyła dopiero wtedy, kiedy bitwa w Ardenach była już rozstrzygnięta, wykorzystując to, że front wschodni został ogołoceny. Najpierw od miesięcy nie otrzymywał żadnych posiłków, ludzie i sprzęt kierowani byli na zachód, a w ostatniej chwili Hitler wyciągnął stąd jeszcze wszystko, co się dało wyciągnąć. Teraz przy pierwszym silniejszym nacisku front po prostu się załamał i Wehrmacht rzucił się do panicznej ucieczki, której nie zdołano opanować ani na okupowanej części Polski, ani na wschodnich ziemiach Niemiec. Zapewne Armia Czerwona mogłaby od razu zająć i Berlin, ale zatrzymała się na rozkaz Stalina na linii Odry, gdyż nie chciał on przedwcześnie kończyć

wojny. Końcówka mu odpowiadała. Nadal był cennym sprzymierzeńcem, porządkował zaplecze, likwidując siły niemieckie wiszące nad Bałtykiem i zajmował Bałkany, miał wolną rękę w grabieży. A zwłaszcza, wzmacniał armię w centrum, tak, żeby spotkać się z Amerykanami i Anglikami dopiero dysponując dużą przewagą liczebną.

Od chwili zmarnowania w samobójczy sposób ostatnich sił, jakimi jeszcze Niemcy mieli, nie było mowy o odzyskaniu inicjatywy. To już nie była wojna tylko agonia, ale „Fuehrer” (wódz) kazał ją kontynuować, chcąc odejść z hukiem i zostawić po sobie imponujący ślad w historii. Skoro przegrał i sam musi zginąć, świadomie dążył, aby z nim zginął cały kraj i naród niemiecki. Pełne szaleństwo, choroba psychiczna, na szczęście stracił poczucie rzeczywistości. Nie miał realnego obrazu, coraz więcej jego rozkazów zostało nie wykonanych. Większość bliskich współpracowników, wielkich dygnitarzy nie miała ochoty ginąć z nim razem, co traktował jak zdradę. Tym bardziej nie mieli takiej ochoty zwykli Niemcy, których świadomie wciągnął do wojny, na którą z początku wcale nie mieli chęci i usilnie pragnęli uniknąć. Początkowe sukcesy były najgorszym, co mogło się zdarzyć, zjednały mu posłuch i zaufanie, teraz nadszedł czas zapłaty. Hitler



nie poczuwał się do winy, twierdził, że skoro naród niemiecki nie potrafił zwyciężyć, powinien zginąć. Oczywiście miała to być gigantyczna tragedia, jak Zmierzch Bogów. Na szczęście, rozkazy pozostawiania spalonej ziemi na zachodzie nie zostały zrealizowane. Najcięższym nieszczęściem stała się zrealizowana zgodnie z rozkazem, ewakuacja całej cywilnej ludności z terenów wschodnich, do linii Odry.



Przebiegała w makabrycznych warunkach. Niewyobrażalna tragedia, obraz piekła na ziemi. Chociaż tłumy uciekających kobiet, starców i dzieci nie stały się celem lotnictwa, w każdym razie nie w takim stopniu jak we wrześniu 1939r, to jednak śmierć zbierała gęste żniwo z powodu surowej zimy, mrozu i śniegu. Faktycznie cywilna ludność niemiecka znalazła się w niewiele lepszej sytuacji, niż więźniowie obozów koncentracyjnych we wspomnianych wyżej, marszach śmierci. Jednak, lepiej odżywieni, dysponowali z początku większym zapasem sił, a konwojenci nie dobijali ich po drodze. Chociaż, to bywało różnie, doraźne egzekucje dla utrzymania

dyscypliny wcale nie należały do rzadkości. Wydano specjalne przepisy (słowa „prawne” lepiej nie nadużywać), które nie tylko na nie zezwalały, ale wręcz nakazywały. Po drodze zostawały trupy zastrzelonych, albo wisielców z przypiętymi kartkami wyroków, zwykle wykonanymi przez SS. Wystarczało podejrzenie, że ktoś zostaje, by się poddać.

Oczywiście, tych ostatnich informacji nie czerpał Angus z prasy. Opowiedział mu o tym znacznie później ojciec, który z kolei (pracując na kolei) miał je bezpośrednio od naocznych świadków. O tym mowa dalej.

To były dalekie odgłosy, w samym Ostrowcu na razie nie wiele się działo. Zaczęły działać jakieś komitety PPR, była raczej ich sprawą wewnętrzną. Powstała tzw. Milicja Obywatelska, ale nie przejawiała większej aktywności. Podobno składała się ona z byłych członków Armii Ludowej i PPR, dodatkowo przyjmowano każdego, kto chciał się dostać. Nie miała dobrej opinii, w sumie niezbyt sympatyczne towarzystwo i źle się zachowujące. Wprowadzili ponownie godzinę policyjną. Angus przesiedział kilka godzin na posterunku, zatrzymany tylko za to, że przechodził bliższą stroną ulicy i nie spodobał się wartownikowi. W dodatku gdy siedział, pilnujący go z bronią w rękę, przez większość czasu bawił się zamkiem. Jeżeli chodziło mu o zrobienie wrażenia, musiał być rozczarowany. Angus ocenił fatalnie poziom i wyszkolenie MO. W oddziale partyzanckim wartownik nigdy by się tak nie zachował w stosunku do nieprzyjacielskiego jeńca, nie do pomyslenia.

W końcu stycznia zaszły dwie ważne zmiany. Pierwsza, wiadomości o otwarciu Gimnazjum i w ogóle szkół, okazały się prawdziwe. Druga, ojciec, który od pewnego czasu częściej bywał poza domem, niespodziewanie oznajmił, że w najbliższych dniach wyjeżdża z grupą zbiorczą dawnych pracowników Dyrekcji Kolei w Poznaniu, wysiedlonych do GG. W Poznaniu trwały walki od szeregu dni i miały trwać jeszcze około miesiąca. Niemcy zaczęli bronić miast jako punktów oporu, taktyka, którą dotąd wyśmiewali i piętnowali. W Poznaniu, garnizon wykorzystał pas starych fortyfikacji z końca 19 wieku, ale nowa taktyka nie przyniosła sukcesów i nie spowolniła posuwania się Armii Czerwonej. Rosjanie najpierw dość szybko zdobyli nie ufortyfikowane dzielnice miejskie, a potem ograniczyli się do blokowania niewielkimi siłami cytadeli. Nie forsowali ostatecznego szturmów aż do dogodnej chwili, gdy Niemcy stracili ostatecznie ducha do walki.



Owszem, Niemcy dokonywali wypadów i miasto mocno ucierpiało, zniszczone w 55%, lecz to nie martwiło specjalnie rosyjskiego dowództwa. Jednak, choć trwało jeszcze zdobywanie miasta, już wracały ekipy polskich kolejarzy, aby zorganizować od nowa Dyрекcję i w ogóle kolej.

\* \* \*

### **Kapsuła: Dziedzictwo Polskiego Państwa Podziemnego, a odbudowa.**

*Zdumiewające, jak nowa władza, z początku słaba, mająca minimum poparcia społecznego, zajęta wewnętrznym zwalczaniem się oraz tworzeniem pozorów, dała sobie radę. Była nie przygotowana do rządzenia i pozbawiona nie tylko fachowych, ale w ogóle wykształconych ludzi, A przecież wkrótce okazało się, że mimo tego wszystkiego, Polska zaczęła nader szybko organizować się i funkcjonować. Kraj najbardziej spustoszony i zdewastowany, w ciągu kilku lat zaczął prezentować się najlepiej z całej zniszczonej Europy, warunki życia stały się zdecydowanie lepsze, a raczej*

bardziej znośne, niż w innych krajach, I to nie tylko w porównaniu do bardzo mocno, choć nie aż tak jak Polska zrujnowanych Niemiec, ale Francji i innych krajów Europy zachodniej, chociaż Polska startowała z dużo gorszej pozycji. Dopiero w roku 1949 ten szybki rozwój został zastopowany, a od roku 1950 Polska zaczęła cofać się do tyłu, coraz szybciej. Dokładnie wtedy, gdy wolna część Europy ostro ruszyła do przodu i zaczęła się rozwijać. Właśnie władza komunistyczna opanowała cały kraj i wzmocniła się na tyle, że mogła rządzić samodzielnie. Wynik był tak fatalny, że doszło do dewaluacji waluty i ponownego wprowadzenia kartek żywnościowych. Polska wyrównała, ale na wschód, do ZSRR. A przecież tak niedawno, w roku 1948 i 49, a nawet na początku 1950, kontrast w stosunku do innych krajów Europy istniał, lecz na korzyść Polski.

Szybki rozwój i sukces w pierwszych latach po wojnie nastąpił dlatego, że odbudowa niejako automatycznie rozpoczęła się i przebiegała według planów, wypracowanych w okresie okupacji (pierwszej, Niemieckiej) przez Polskie Państwo Podziemne.

Dla zobrazowania, jak wielkie znaczenie ma opracowany wcześniej plan, przykład z niedawnej przeszłości. Powstanie Wielkopolskie z 1918 roku, wywołało wiele sporów, dlaczego się udało i jak do tego doszło, skoro było całkowicie spontaniczne, w pierwszym, decydującym okresie nikt nim nie kierował. Rzeczywiście, struktury organizacyjne społeczeństwa wielkopolskiego podporządkowały się całkowicie Naczelnej Radzie Ludowej, która konsekwentnie zakazała wszelkich działań zbrojnych. Dążyły do nich tylko Sokół i grupy młodzieży, przybudówki młodzieżowe Sokoła, oraz skauci (przybudówka w drugim pokoleniu). Ponieważ Sokół nie dostał pozwolenia policji niemieckiej na pracę z młodzieżą, powstały niby-samodzielne klony.

### **Związek Kół Gimnastycznych „Sokół” i hodowla piskląt Sokolich.**

Najważniejszą, legalnie działającą na terenie zaboru pruskiego, zwłaszcza Wielkopolski organizacją był „Związek Kół Gimnastycznych Sokół”. Szerzył tężyznę fizyczną i duchową, pod hasłem „mens sana in corpore sano” (w zdrowym ciele zdrowy duch) i ducha narodowego. Nikt nie wątpił, po co ten zdrowy duch i ciało będą potrzebne. Wprawdzie **Sokół nie prowadził ćwiczeń z bronią**, ale w Wielkopolsce w wielu domach stały zegary z napisem „**O kiedyż wybije godzina...**”

Ruch Sokoli trafił do **Wielkopolski z Czech za pośrednictwem Małopolski** Na terenie Niemiec został poddany ścisłemu nadzorowi

policyjnemu, szykanom i prześladowaniom. Ustały po zmianie statutu i określeniu gniazd Sokoła jako organizacji politycznej, co pozwalało na stały nadzór policyjny. Konsekwencją był **zakaz pracy z młodzieżą, członkami mogli być tylko dorośli**. Z tego powodu Związek Sokoli, którym przed I wojną światową kierowali prezes Bernard Chrzanowski i wiceprezes Ksawery Zakrzewski, **zapoczątkował tworzenie towarzystw młodzieżowych, którym zezwalano korzystać, lub za symboliczną opłatę wynajmowano** na godziny boiska i lokale. (Obaj byli członkami Ligi Polskiej, później Narodowej Demokracji, tzw. „Koła Braterskiego”, ścisłego kierownictwa).

**Bernard Chrzanowski** prezentował polską rację stanu w parlamencie niemieckim, a jako znakomity prawnik zajmował się obroną w sprawach politycznych i reprezentował związek wobec władz. **Ksawery Zakrzewski**, I Wiceprezes, kierował pracą organizacyjną. **Niemcy tamtego okresu były państwem prawa, choć to prawo dyskryminowało mniejszości**. W ówczesnych warunkach, **obrona prawna i rozsądne stosowanie przepisów i ustaw miało zasadnicze znaczenie**. Samo zamknięcie drzwi przed rozpoczęciem zebrania, na przykład obchodów uroczystości narodowych, zmieniało kwalifikację prawną. Policja mogła domagać się wpuszczenia, ale **nie miała prawa wtargnąć siłą przed uzyskaniem zezwolenia sądowego**. Odpowiedzialność za nieusłuchanie wezwania ograniczała się do kar porządkowych. Podobnie, w razie nakazu konfiskaty wydawnictwa, władze nie mogły tej konfiskaty wykonać, **jeżeli wydawca zdążył na pocztę przed policją i nadał przesyłkę. Od tej chwili, stała się prywatną korespondencją**.

Iskra, powstała w 1903 r., później „Brzask” i „Ogniwo”, samodzielne organizacje młodzieżowe, były przybudówkami „Sokoła”, **hodowlą piskląt sokolich**. Z tego powodu podlegały szykanom policyjnym i zakazowi działalności. Władze zarzucały, że jest to próba obejścia prawa przez „Sokoła”. Mecenas Chrzanowski doprowadził sprawę do najwyższego sądu w Berlinie i wykazał, że policja nie dysponuje dowodami i nie może wykazać powiązań personalnych, ani finansowych, ani organizacyjnych. Prezesami Iskry, Ogniewa i Brzasku byli wówczas Kazimierz Syller, Stanisław Szulc i Edmund Maćkowiak. Ani oni, ani żaden dorosły członek nie byli obecnie, czy w przeszłości członkami „Sokoła”.

### **Początek ruchu Skautowego w Wielkopolsce.**

Zakaz działalności został uchylony, co spowodowało ze strony policji tym silniejsze próby penetracji. Z inicjatywy Bernarda Chrzanowskiego i

Ksawerego Zakrzewskiego rozpoczęto tworzenie ruchu skautowego w Wielkopolsce, trafna decyzja. Powstały przed kilku laty ruch skautowy, miał wielką siłę przebicia i szybko rozszerzał się na całym świecie, ciesząc się dobrą opinią. W dniu 17 października 1912r. **w mieszkaniu Henryka Śniegockiego przy ul. Półwiejskiej 11** powstała pierwsza organizacja Skautów Wielkopolskich (zawiązana przez Cezarego Jindrę, Henryka Śniegockiego, Edmunda Węclawskiego i Wincentego Wierzejewskiego oraz Leonarda Skowrońskiego i Tadeusza Wolskiego). Ksawery Zakrzewski sprowadził instruktorów Skautowych, **ze Lwowa**, wówczas centrali Ruchu Skautowego i Sokolego na ziemi polskiej.

Burzliwy rozwój skautingu zwiększył się w 1914r. Przerwał go wybuch I wojny światowej. W pierwszym okresie wojny działalność ustała, **powstała tajna organizacja bojowa o nazwie TON (Towarzystwo Obrony Narodowej)**, założona przez Dr K. Zakrzewskiego,. Organizacja od początku wybrała orientację antyniemiecką, opowiadając się po stronie koalicji i zamiarze współdziałania z Rosją. Przyjęła za podstawę oczekiwany manifest rosyjski zapowiadający utworzenie zjednoczonej Polski pod konstytucyjnym panowaniem cara. Jak wiadomo, do tego nie doszło, może z powodu nieprzejednanego Dworu Carskiego, a może Puryszkiewicza, Czarnej Sotni i skrajnych Rosyjskich nacjonalistów. TON powołało bojówki, mające wspierać działania wojsk rosyjskich i w korzystnych okolicznościach rozpocząć powstanie. W końcu roku, te działania uznano za przedwczesne, organizację rozwiązano. Lecz to stanowisko utrzymali Skauci Wielkopolscy do 1917r.

Od początku roku 1915 wznowiono, w konspiracji, działalność skautów. Mobilizacja starszych roczników, pozbawiła skautów kadry kierowniczej. Sytuacja w Sokole była jeszcze trudniejsza, mobilizacja dotknęła większość członków, sprawnych fizycznie. W styczniu 1915 powrócił z frontu chory Henryk Śniegocki, zdołał przedłużyć zwolnienie w komisji lekarskiej. W kilka tygodni później, już w stopniu oficerskim, ranny **W. Wierzejewski. Po wyleczeniu zdecydował się na dezercję z bronią**, na jego miejsce komendantem Skautów został H. Śniegocki. **W listopadzie 1915r. zmarł Ksawery Zakrzewski**, charyzmatyczny przywódca o wielkim autorytecie, spiritus movens idei powstania. (Bernard Chrzanowski, wielki patriota i wybitna postać, mniej skłonny był do "Action Directe", postępował ostrożnie, zgodnie z prawniczym wykształceniem). Wierzejewski zastąpił przywódcę w kręgach młodzieży. Wyrabiał sobie dopiero autorytet, **dla starszego pokolenia był postacią nieznaną** (podobnie Henryk

Śniegocki, nowy Komendant drużyn skautowych). Dzięki pomocy Józefa Kostrzewskiego, (sławnego archeologa), urządził centralę w muzeum Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i tam się ukrywał, skupiając na głębszej konspiracji. Przybywało dezertarów, część z bronią, poszukiwanych przez żandarmerię i policję. Wierzejewski utworzył wytwórnice **falszywych dokumentów**, także "Bezugscheinów" na żywność i zezwoleń na podróż.

W końcu 1916r. utworzono **Główną Kwaterę Skautową na Zabór Pruski**. Większość skautów to chłopcy, ale ponieważ wojna trwała długo - wielu zdążyło wziąć udział w powstaniu, do czego od początku się przygotowywali. Pełen energii Wierzejewski, zaopatrzony w paszport własnej produkcji i dokumenty wymagane w podróży, próbował dotrzeć do Szwajcarii. Chciał uzyskać patronat i instrukcje od działającego tam Polskiego Komitetu Pomocy, przekształconego później w P.K. Narodowy. **(Podobno Zakrzewski utrzymywał kontakt z H. Sienkiewiczem, wtedy największym autorytetem)**. Dotarł do granicy, dokumenty nie budziły wątpliwości. Niestety, inną osobę uznano za podejrzaną i zatrzymano całą grupę dla weryfikacji. Wtedy uciekł i usiłował



Ksawery Zakrzewski      Wincenty Wierzejewski      Józef Kostrzewski  
samodzielnie przejść granicę w górach, jednak został schwytany i osadzony w więzieniu wojskowym, oślawionej Szpandawie. Nawet tam zdołał uciec i wrócił do Poznania, kontynuując działalność w konspiracji.. **Sienkiewicz zmarł** po kilku miesiącach, prawie rok po Zakrzewskim, w połowie listopada 1916, nie było drugiej szansy.

**Przybudówki wojskowe skautingu..** W dniu 15 lutego w Muzeum PTPN przy ul. Mielżyńskich powołano Polską Organizacją Wojskową Zaboru Pruskiego, na czele **stanął Wincenty Wierzejewski**. **Józef Kostrzewski, zaufany doradca** wspomagał go, gdyż przy

„dyplomatycznych” rokowaniach w większym gronie, nie radził sobie dobrze. **Urodzony dowódca, nie miał jednak talentu negocjatora.** Gdyby nie talent i łatwość nawiązywania kontaktów Kostrzewskiego (jak J. Ziółkowski przy Wałęsie), konflikt między młodymi spiskowcami i starymi przywódcami doprowadziłby do rozłamu.

Od lata zaczął się na masowy rozrost organizacji, przyjmującej nie tylko skautów i byłych skautów, ale starszych żołnierzy, podoficerów, dezertersów, gromadzenie broni. Po rozwiązaniu się TON w końcu 1914 r., Skauci i utworzona przez nich POWZP byli jedyną organizacją, przygotowującą konsekwentnie powstanie, **realizując plan śp. K. Zakrzewskiego ze "Sokoła". Zabrakło jego autorytetu.** Mimo klęski Niemiec, **starsze pokolenie działaczy było przeciw walce zbrojnej.** **Rada** Ludowa, naczelna władza, zakazała działań zbrojnych, choć akceptowała istnienie tajnej organizacji.

Jednak, POWZP zdołała przeprowadzić trzy trafne inicjatywy:

1/. Skauci ze względu na wiek nie stanowili poważnej siły bojowej, ale zorganizowali akcję witania na dworcu zdemobilizowanych żołnierzy i werbowania ochotników. Akcja wywołała nadspodziewany entuzjazm, chętnych rejestrowano w improwizowanych biurach werbunkowych i zaprzysięgano masowo na boisku Sokoła, przy ul Garbary 29 i kilku innych miejscach). Jednak autorytet NRL był niekwestionowany, także Komenda Chorągwi Wielkopolskiej i zakonspirowane koło wewnętrzne, które nią sterowało (rada jedenastu POWZP), podporządkowały się NRL. Zezwolono jedynie na opracowanie planu alarmowego na wypadek, gdyby Niemcy próbowali nagle zmienić obecny stan i siłą zdusić istniejące polskie struktury i organizacje. Nic jednak tego nie zapowiadało i NRL zdecydowała, czekać spokojnie do Konferencji pokojowej, na której miała przedstawić postulaty ludności Wielkopolski.

2/. Zamach stanu w Radzie Żołnierzy i Robotników, powołanego przez wojsko niemieckie organu rewolucyjnego. Sprawując najwyższą władzę w Poznaniu, była **nadrzędna w stosunku do Komendy Miasta i władz prowincji, cywilnych i wojskowych.** Wobec zakazu rozpoczęcia powstania, zgromadzeni już w tym celu ludzie, bez broni udali się przed ratusz. Delegaci wkroczyli na posiedzenie i zażądali odstąpienia kilku miejsc dla Polaków, motywując, że przybywa powracających żołnierzy-Polaków, a co do robotników, ogromną większość stanowią Polacy. Ochrona niemiecka strzelała w powietrze. Okazało się, że mimo zakazu, wielu zgromadzonych w tłumie członków POWZP jednak wzięło broń. Strzały, liczniejsze, padły

też w powietrze, marynarze ochrony woleli się wycofać. Rada zgodziła się na rokowania i przyjęła zasadę parytetu, równej ilości Niemców i Polaków. Czterech żołnierzy ustąpiło miejsca w Radzie, czterech z pośród sześciu delegatów przyjęto do Rady i delegacja uspokoiła tłum, zgromadzony wokół ratusza. Miało to kapitalne znaczenie, zasadę parytetu jako wzorcową naśladowały wszystkie władze i urzędy. Polacy działając solidarnie, zyskali praktycznie większość w tzw. "Wydziale Wykonawczym - Rady Robotników i Żołnierzy".

3/. Dzięki temu zdołano przeprowadzić utworzenie regularnych oddziałów Polskich. Gdy z Berlina nadeszła dyrektywa tworzenia tzw. kompanii Straży i Bezpieczeństwa, **POWZP złożyła listy ochotników, zarejestrowanych w biurach werbunkowych i zaprzysiężonych w dniu 12 listopada i później.** Powstały cztery kompanie Straży i Bezpieczeństwa, wkrótce dalsze pięć, **sformowana i skoszarowana kadra przyszłego powstania.**

Rada Robotników i Żołnierzy uchwaliła powołanie umundurowanej i uzbrojonej Straży Ludowej do funkcji porządkowych. Należać mogli wszyscy obywatele bez względu na narodowość, tak się jednak złożyło, że zapisywali się głównie Polacy, przeważnie starsi członków Sokoła. Wprowadzono podział na roczniki, młodsze o większej zdolności bojowej i starsze, do służby stacjonarnej. Nadal istniały nie skoszarowane, aktywne oddziały POWZP tzw. wywiadowczo-wykonawcze, zajmujące się zdobywaniem broni i amunicji, zwykle nielegalnie. W sumie znaczna siła, choć kilkakrotnie **mniejsza od garnizonu poznańskiego**, który w połowie listopada liczył ok. 14 tys. oficerów i żołnierzy i stopniowo się zmniejszał. Jednak, żołnierze-**Niemcy mieli dość wojny.**

Mimo to, Rada Ludowa, przemianowana na Naczelną Radę Ludową stanowczo wykluczała możliwość starcia. Dla zneutralizowania POWZP, do której jak i do skautów nie miała zaufania, utworzyła tzw. Komisję Wojskową ze Sztabem, nakazując wszystkim uzbrojonym oddziałom podporządkowanie się. Sytuacja była napięta, POWZP nie chciała uznać narzucanego kierownictwa. **Cywilni, w większości duchowni, przedstawiciele Rady wyszli, trzaskając drzwiami.** Jednak, mianowany przez Radę Ludową szef Komisji Wojskowej M. Paluch dogadał się ze spiskowcami, doceniając ich potencjał sił. Z jednej strony gotowe wojsko prawie bez zawodowych oficerów, z drugiej sztab "kanapowy", bez żołnierzy.

**Ewolucja władzy i wybuch postania, z powodzeniem.**

Podporucznik M. Paluch, zamiast opanowania i stopniowej likwidacji zgromadzonych sił zaproponował współpracę. Jego funkcja z ramienia NKL miała tylko znaczenie moralne, ale z umocowania POWZP i skautów, wraz z Wierzejewskim, Śniegockim i Wizą, wszedł 12 listopada do Rady Robotników i Żołnierzy. W ramach jej Wydziału Wykonawczego, jedyny dokooptowany oficer został tzw. **decernentem w komendzie miasta (decernenci mieli uprawnienia równe urzędującym aktualnie funkcjonariuszom Niemieckim)**. Podlegały mu nowo utworzone oddziały. Ponadto **POWZP wprowadziła Polskich decernentów na ważniejsze stanowiska i placówki komendy miasta**, a sztab Komisji Wojskowej pod dowództwem M. Palucha i jego zastępcy, B. Hulewicza,



Mieczysław Paluch



Henryk Śniegocki

opracował plan powstania. **Tzw. plan alarmowy**, na wszelki wypadek, mimo założenia, że powstania nie będzie i Polacy zrealizują swe dążenia pokojowo, w wyniku rokowań. Zarówno zwolennicy, jak przeciwnicy powstania uznali to za zdrowy rozsądek.

Na początku grudnia przeprowadzono wybory i powołano legalną władzę, Sejm Dzielnicowy. Działacze starszego pokolenia **w najbardziej sprzyjających okolicznościach, dniach rewolucji i walk w Berlinie, utrzymali zakaz powstania**. Minęła bezpowrotnie okazja łatwego przejścia władzy, rozbrojenia wojska niemieckiego bez oporu, za bilet do

domu. Na wszelkie argumenty NKL odpowiadał niezmiennie, że w tej sprawie zawarto porozumienie, przestrzegane przez Niemców, więc również przez Polaków .

Sytuacja uległa zmianie po opanowaniu kryzysu wewnętrznego, Niemcy usiłowali odwrócić stosunek sił. Na miejsce armii, która nie chciała się bić, zaczęli tworzyć lub sprowadzać oddziały najemników, podobne do **Freikorpsów**, tzw. „**Heimschutz lub Grenzschutz**”. Groźni przeciwnicy, kosztowali powstanie wiele krwi, nie uznawali praw międzynarodowych, ni cywilizowanych zasad prowadzenia walki. Traktując źle ludność, mordowali i rabowali nie gorzej, niż 20 lat po nich Hitlerowcy. Gdyby te plany doprowadzono do końca, zapewne Niemcy sprowokowaliby w sytuacji przymusowej wybuch powstania i je zdusili. Zareagowali przedwcześnie, **przeceniając siły** i środki.

W związku z przyjazdem wybitnego polskiego kompozytora i męża stanu, Ignacego Paderewskiego w towarzystwie misji angielskiej, doszło **w Poznaniu do manifestacji narodowej. Polacy uwielbiają takie obchody**. Ze względu na obecność dziennikarzy i korespondentów zagranicznych, Niemcy nie czekali spokojnie na zakończenie uroczystości, jak dotąd. Zdecydowali się zareagować pokazowo. **Wyprowadzili na ulice wojsko, 6 pułk grenadierów z koszar przy ul. Matejki**. Pułk miał opinię zdyscyplinowanego i bojowego, złożonego z twardych żołnierzy, którzy nie ulegli zmęczeniu wojną i zachowali serce do walki, a zdecydowanie nie lubią Polaków. W ślad za piechotą, ruszył tłum urzędników - Niemców z kontr-manifestacją, po drodze zrywano flagi polskie i koalicyjne, niszczone dekoracje. Żołnierze wdarli się do domów prywatnych i budynku Banku Spółek Zarobkowych, powstało zamieszanie. Grenadierzy i policjanci otwarli ogień w powietrze. Zagrożeni poczuli się członkowie misji alianckiej, towarzyszący Paderewskiemu. Od tej chwili działał automatycznie plan alarmowy, opracowany przez oficerów Komisji Wojskowej Palucha, według wzorów niemieckiego Sztabu Generalnego **(tam zostali wyszkoleni)**.

Każdy oddział i człowiek miał wyznaczony cel i wypełniał postawione mu zadanie. Nikt nie był w stanie tego przerwać, **nikt nie dowodził (do drugiego dnia), wszystko zaplanowano z góry**. Dziwne, miasto i twierdzę opanowano **po zaciętej i gwałtownej strzelaninie, mimo to ilość ofiar była niska**, zaledwie paru zabitych i niewielu rannych. Chyba, żadna strona nie chciała wyrządzić drugiej krzywdy. Mimo starań NKL o uspokojenie nastrojów, powstanie samorzutnie przeniosło się na teren

provincji, tam walki nabrały krwawego i okrutnego charakteru z powodu obecności "Heimschutz'u" i "Grentzchutz'u ". Straty obu stron wysokie, **w tym zginęło ok. 2 tys. powstańców.**

Polacy długo czekali bezczynnie, **gdyby powstanie rozpoczęli wcześniej, straty po obu stronach byłyby niższe.** Niemcy zaś przedwcześnie zdecydowali się na rozwiązanie siłowe, gdyby zrealizowali w pełni program zaciągu najemników, mogliby utopić powstanie we krwi. Powstanie zakończyło się powodzeniem. Powstańcy zdołali opanować i utrzymać, mimo przeciwuderzeń niemieckich, prawie całą Wielkopolskę. Tylko niewielkie skrawki pozostały przy Niemcach. Granicę ustalano nie wg zasad etnicznych, **a aktualnej linii frontu.**

**„Jeśli ktokolwiek, gdy będę w grobie... zapragnie kiedyś zasięgnąć wieści” ... o tych ludziach:**

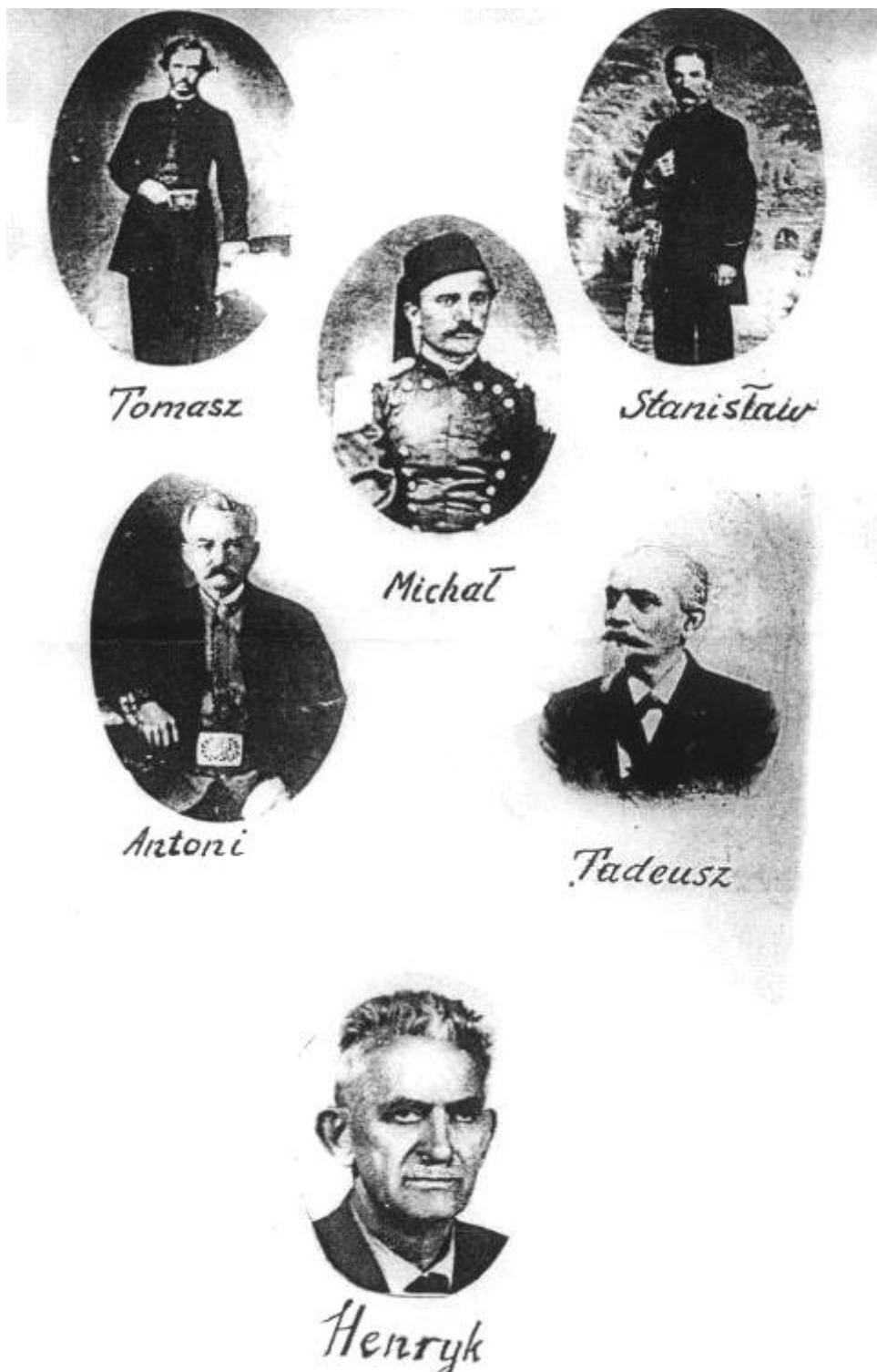
**Henryk Śniegocki i jego starszy kolega i szef, Wincenty Wierzejewski, komendant POWZP i naturalny dowódca całości, nie mieli ambicji osobistych.** Śniegocki uczestniczył jako doświadczony organizator, w plebiscycie mazurskim i plebiscycie oraz powstaniu śląskim. W Wolnej Polsce został nauczycielem, nadal zajmując się harcerstwem (spolszczona nazwa skautingu). Wybrany **komendantem Chorągwi Wielkopolskiej,** źle widziany i prześladowany przez Sanację, musiał zrezygnować. Kilkakroć przenoszony, ostatnio **za Pińsk, „dla dobra szkoły”** (choć nie znał nawet tamtejszej mowy), wrócił do Poznania, po wygranych procesach, Sanacje nie była wszechmocna, prawo jednak działało. Być może, zejście ze sceny uratowało mu życie w okupacji, **tylko "normalne" więzienie** i wysiedlenie, przeżył w Częstochowie. Gdy wrócił, **władza komunistyczna wkrótce usunęła go z Harcerstwa i szkoły, bez prawa odwołania.** Resztę życia poświęcił na wspomnienia i walkę o prawdę w komisjach historycznych.

**Wierzejewski, po wybuchu powstania nie awansował** (jak Piotr Wysocki po 1830r.) pozostał kapitanem. W każdym razie do 1939r., dopiero w II Wojnie Światowej, na emigracji, podpułkownikiem. 28 grudnia, na czele 1 kompanii skautowej opanował z zaskoczenia bastion Grolmana oraz stacjonujący w nim park artyleryjski, usytuowany w centrum miasta i oceniany jako niedostępny, trudny do zdobycia. Dwie armaty postronni entuzjaści wyciągnęli i ustawili przed Bazarem, popularne tło do zdjęć.

**6 stycznia 1919r,** w tradycyjne święto, w którym odbywały się zwykle zbiórki, skauci uczestniczyli w zdobyciu lotniska i **bazy lotnictwa wojskowego Ławica,** o dużym znaczeniu strategicznym, poza miastem,

*(Śniegocki uczestniczył w sekcji karabinów maszynowych). Napotkali zdecydowany opór, lecz użycie artylerii przerwało impas (zdobyli 250 samolotów, co zapoczątkowało rozwój wojskowego i cywilnego lotnictwa Polskiego oraz zaplecza technicznego.). **Ostatnia wspólna, udana akcja Wierzejewskiego i Palucha**, po niej ten ostatni utracił funkcję i pewien czas pozostał bez przydziału, potem przeniesiono go na front północny do dyspozycji ppłk K. Grudzielskiego. NRL nadal odnosiła się do harcerzy z rezerwą, (także do M. Palucha).*

*Wierzejewskiego wraz z 1. Kompanią Skautową wysłano w Grupie Wielkopolskiej na odsiecz Lwowa, następnie uczestniczyli w wojnie z Sowiecami, dowódca otrzymał Virtuti i cztery razy Krzyż Walecznych, prócz innych odznaczeń. Urodzony, zawsze zwycięski dowódca, nie awansował. Przed mjr Sucharskim, **dowódca Westerplatte**.*



Bracia Śniegoccy, powstańcy 1863r, i następne pokolenie, 1918r.

***Dorobek naukowy Józefa Kostrzewskiego przyćmił jego rolę w ruchu skautowym i niepodległościowym, jest mniej znana. Nie zakończyła się w tej wojnie, ani dwudziestoleciu międzywojennym, wywarła długi i***

trwały wpływ. Profesor Kostrzewski zainicjował utworzenie i opiekował się na Uniwersytecie Poznańskim AKH (Akademickie Koło Harcerskie, grono instruktorów). Stąd wywodzili się ludzie, którzy **utworzyli w czasie II Wojny Światowej i okupacji, Szare Szeregi, ideę i standard moralny**). Inni uczestniczyli w organizacji Ojczyzna, po rozbiciu ruchu oporu, reprezentującej Wielkopolskę w Polskim Państwie Podziemnym. Po wojnie stworzyli Instytut Zachodni i niezależne wydawnictwo, tolerowane przez władze komunistyczne do własnych celów. Ocaliło to wielu ludzi i idei.

*Do tych wydarzeń doszło w zupełnie nieprzewidzianym momencie. Gdyby kierownictwo NRL z własnej inicjatywy zdecydowało się na działanie, mogło to korzystniej zrobić o pół miesiąca wcześniej. Wtedy, w związku z rewolucją w Berlinie, władza i armia niemiecka były całkowicie bierne i bezradne. Prawdopodobnie powstanie miałoby przebieg zupełnie bezkrwawy, może niezauważalny, jak zmiana warty. Lecz młodzież spiskowa daremnie nalegała na takie działanie, stanowisko NRL było nieugięte: tylko spokój. Do końca grudnia Niemcy opanowali sytuację i wzmocnili swe siły w Wielkopolsce, dlatego spróbowali rozwiązania siłowego. Gdyby nie ta próba, do powstania by nie doszło i Polacy spokojnie czekali na rozstrzygnięcie sprawy granic przez konferencję pokojową. Być może, załatwiono by wszystko polubownie i nie powstałyby międzywojenne napięcia między Polską i Niemcami. Choć wobec znanego nieprzychylnego stanowiska Lloyd George'a, pewnie sprawy potoczyłyby się tak, jak na Śląsku, więcej, a nie mniej krwi. Trudno zgadywać co by było, gdyby, nie o to chodzi. Ta uproszczona wersja ma tylko stanowić ilustrację, że dobry plan może być skuteczniejszy od ręcznego sterowania.*

*W latach 1940 - 44, niezależnie od toczonej walki i innych zadań, cywilna część konspiracji, struktury Polskiego Państwa Podziemnego ze współpracą czynników społecznych opracowały plany odbudowy i rozwoju kraju po wojnie. Poniżej tylko te nieliczne fragmenty, z którymi Angus się zetknął. Wierzę, że ktoś bardziej kompetentny przedstawi ten temat lepiej.*

*Jednym z tych fragmentów było szkolnictwo - zarówno legalizacja istniejącego dotychczas, konspiracyjnego, jak i organizacja dodatkowego, intensyfikacja lub tworzenie całkiem od nowa, na terenach dotąd nie objętych. Nastąpił run na szkoły, napłynęły masy uczniów, nie mająca dotąd dostępu do nauki, co było wynikiem nie tylko braków z lat wojny, ale także atmosferą. Każdy chciał się uczyć i traktowano to nadzwyczaj poważnie, pozostałość z lat, kiedy trzeba było dużo poświęcić i ryzykować życie, dla zdobycia wiedzy. Po czterech, pięciu latach entuzjizm, prawie*

*taki, jak w podziemiu okupacji, zaczął zanikać, o ile mi wiadomo, nigdy przedtem ani potem nie wystąpił tak intensywnie.*

*Ponieważ istniejące przy delegaturach Rządu Emigracyjnego na szczeblach wojewódzkich i powiatowych wydziały szkolnictwa i oświaty oczywiście nie mogły działać, a lepiej nie myśleć, jak skończyłaby się próba ujawnienia struktury, przekształcały się one w, rzekomo dopiero teraz powstałe, społeczne rady. Przedstawione gotowe rozwiązania i programy na ogół zostały zaakceptowane przez tzw. Władzę Ludową, ponieważ ta nie miała żadnego planu działania, ani pojęcia, co należy zrobić. Tak też było w Ostrowcu, a sprawa uruchomienia gimnazjum tylko dlatego się przeciągnęła, że trzeba było odzyskać budynek. Użytkowany dotąd przez Wehrmacht, automatycznie przeszedł w posiadanie Armii Czerwonej. Potem zaś trzeba było jeszcze włożyć sporo pracy w jego przystosowanie do nowych potrzeb, na szczęście nie był zniszczony, tylko niesłychanie zanieczyszczony. W tym samym okresie powstała tymczasowa komisja administracyjna Uniwersytetu Poznańskiego, na bazie działającego w konspiracji, Uniwersytetu Ziemi Zachodnich w Częstochowie.*

*Prawie równocześnie, wyjeżdżały pierwsze grupy wysiedlonych poznańskich kolejarzy, w tym także ojciec Angusa, aby wziąć udział w odtwarzaniu i reaktywowaniu Dyrekcji Kolei. Zaczęła ona funkcjonować na wypróbowanych zasadach, chociaż zakres zadań i teren operacji znacznie wzrosły. Dopiero po paru latach, reżim komunistyczny przystąpił do rozbijania odtworzonych struktur i tworzeniu własnych, czemu towarzyszyła wymiana połączona z nagonką, zwłaszcza na ludzi, na odpowiedzialnych stanowiskach. W rezultacie ruch kolei uległ dezorganizacji.*

*Kolejnym przykładem jest zagłębie węglowe Górnego Śląska oraz Górnośląski Okrąg Przemysłowy. Powołane przez Delegaturę Rządu zespoły kompetentnych fachowców przedwojennych, utworzyły biuro studiów, przygotowujące plany uruchomienia i rozbudowy wydobywania węgla oraz wznowienia produkcji przemysłowej. Plany tak dobre, że wystarczyły na kilka następnych lat, przez cały czas wszystko szło sprawnie. Tak się złożyło, że Angus spotkał paru inżynierów, którzy w tym okresie nagle dostali wezwanie do objęcia funkcji. Przewidziani jeszcze w czasie okupacji, teraz na łeb na szyję wyjeżdżali z Ostrowca. A w latach pięćdziesiątych, czytał w prasie zarzut, że reakcyjne podziemie w czasie wojny, już z góry zadbało o dobre posady dla swoich ludzi. To przykład niesprawiedliwej oceny, faktem jest, że przewidziano możliwie najodpowiedniejszych ludzi do konkretnych zadań. Zaś najlepszym dowodem, jak funkcjonalne były*

założenia jest na przykład dawne biuro studiów dla górnictwa węgla powstałe w konspiracji. Działało nadal pod inną nazwą, ale w tym samym składzie, tyle, że do każdego fachowca dodano co najmniej jednego funkcjonariusza UB albo partii, aby patrzył im na ręce. Dopiero kiedy później uznano, że ci dodani ludzie sami nabrali dostatecznej praktyki i mogą pełnić kierownicze funkcje, sprawy się popsuły. Dobrze rozwijający się okrąg, stał się zdewastowanym śmietniskiem. Bez względu na niszczenie środowiska, forsowano produkcję za wszelką cenę. Nie poprawiło sytuacji, gdy działacze partyjni w nie wyjaśniony bliżej sposób, zaczęli uzyskiwać tytuły zawodowe i naukowe, a potem akademickie, (choć np. Gierek zadowolił się "skromnie", tylko tytułem inżyniera).

Niestety, nie istniały plany w stosunku do tzw. Ziemi Zachodnich. Rząd Polski na emigracji nie przewidywał wchodzenia tak daleko na ziemie które



wprawdzie kiedyś należały do Polski, ale już od dawna zostały zgermanizowane. Polacy liczyli na korektę granic z Niemcami, ale tylko na

tych terenach, które zachowały ludność polską, albo miały do niedawna większość polską, zmieniło się to dopiero ostatnio na drodze przemocy. Tylko ekstremiści wzywali do powrotu do granic piastowskich. Niespodziewanie, zwycięskie mocarstwa narzuciły Polsce granicę na Odrze i Nysie, jednocześnie zmuszając ją do zrezygnowania z prawie połowy dawnego terytorium na wschodzie. Polska została przesunięta na zachód, nie z własnej woli. Jednak nie chodzi o wspomnianie ogromu cierpień milionów przymusowych przesiedleńców, lecz niebywałe marnotrawstwo, jakie temu towarzyszyło. Ponieważ wymuszona akcja była całkowicie nie przygotowana, powstały totalne straty, praktycznie cały majątek tych ziem został rozgrabiony, lub zdewastowany bez żadnego pożytku. Najpierw Armia Czerwona traktowała wszystko jako swój łup. Zabierali dowolnie, co kto chciał, przy pełnej anarchii. Na jedną rzecz zabraną, przypadało dziesięć zniszczonych. Następnie Rząd Tymczasowy utworzył specjalne Ministerstwo Ziem Odzyskanych, ale działalność jego była nie tylko źle zorganizowana i nieudolna, lecz wręcz fikcyjna. Umocowani przezeń urzędnicy nie mieli prawa do żadnej decyzji bez uprzedniego uzgodnienia ich z terenowym dowództwem Armii Czerwonej. Rosjanie przystąpili bowiem do systematycznego zabierania tzw. zdobyczy, to jest demontażu fabryk, wszelkich urządzeń przemysłowych i zwłaszcza maszyn i urządzeń. Odbywało się to jednak w tak chaotyczny sposób, że wątpliwe jest, czy nieskończone rzędy pociągów i kolumny transportowe, ciągnące na wschód, przyniosły jakąś realną korzyść. To klasyczny przykład wadliwie zdefiniowanego pojęcia wartości, sam Marks by sobie nie poradził. Jaka była wartość tych urządzeń? Czy chodzi o wartość pracy, związanej z ich wyprodukowaniem, oraz pracy pośredniej tkwiącej w surowcach i urządzeniach przetworzonych uprzednio, myśli technicznej i włożonym kapitale, powiększona o pracę włożoną przy demontażu i transporcie? Czy ta ostatnia być doliczona czy odliczona od całkowitej wartości? Czy może wartość złomu? A może wartość ujemną, zanieczyszczenie środowiska, obciążenie i problemy, z którymi przyszłe pokolenie muszą się uporać?

Ta wzmianka ma na celu tylko podać przykład negatywny, degradacji spowodowanej brakiem planu. Górnośląski Okrąg Przemysłowy rozpoczął produkcję i przynosił dochód. Lecz zagospodarowanie Ziem Zachodnich kosztowało Polskę astronomiczne sumy przez wiele lat. To ogromny wkładu kapitału, a łatwo zgadnąć, z kogo ten kapitał wyciskano. Był tylko jeden pożytek, choć trudno ująć go w rozliczeniach: na ziemiach zachodnich istniał pewnego rodzaju azyl, schronienie dla ludzi prześladowanych przez

*tw. Władzę Ludową. Przez szereg lat Polska miała coś w rodzaju dzikiego zachodu, gdzie najpierw nie sięgało żadne prawo, a potem bardzo słabo. Gdzie zbieg i człowiek bez szans mógł uciec i ukrywać się. Wprawdzie w nader prymitywnych i trudnych warunkach, ale jednak przeżyć.*

*Wracając do przykładów owocnych planów, pozostawionych przez Polskie Państwo Podziemne, oto jeszcze jeden. Obecnie mało kto wie, że konstrukcja i szczegółowe plany tzw. „Stara”, popularnej ciężarówki, też zostały opracowane przez zespół konstruktorski, inspirowany i wspomagany przez cywilne struktury Polskiego Państwa Podziemnego (Delegatury Rządu). Zakładano bowiem, że w przyszłej odbudowie spustoszonego kraju, ważna rola przypadnie samochodom ciężarowym. Jeden ze współpracowników tego zespołu (zresztą nie specjalnie ważny, tzw. starszy pomocnik młodszego pomocnika starszego asystenta, jak się sam ujął), mieszkał w Ostrowcu, w domu późniejszej koleżanki i sympatii Angusa z*



*Liceum. Produkcja Starów została później uruchomiona w Zakładach Starachowickich, które w czasie wojny produkowały uzbrojenie. Te świetne ciężarówki, utrzymały się w produkcji około pięćdziesięciu lat, stając się w końcu żywą skamienieliną, czymś w rodzaju dinozaurów, po prostu zabytkiem techniki. Ale w czterdziestych latach, to był rewelacyjny projekt, znacznie wyprzedzający aktualny stan techniki, super-nowoczesny jeszcze do lat pięćdziesiątych. Przy tym idealnie przystosowany do trudnych warunków, konkretnie kiepskich dróg. Nie jest winą projektantów, że Rząd Tymczasowy najpierw nie bardzo wiedział co z tym projektem zrobić i odwlekał decyzję, a potem wykonawstwo ślimaczyło się i napotykało na coraz nowe przeszkody biurokratyczne. Z powodu nieudolnego kierownictwa, projekt nie był już całkiem świeży, kiedy uruchomiono produkcję. Mimo to samochód ten stał się jednym z najlepiej samo-eksportujących się wyrobów i pozostawał przez szereg lat, przy bardzo*

niewielkich zmianach. Z początku genialna konstrukcja, stawała się coraz bardziej przestarzała. Żartowano, Star od starość. Ale wprost trudno przecenić jego rolę w okresie odbudowy kraju.

To tylko niektóre przykłady, sukcesy w odbudowie kraju po wojnie, mimo braku kompetencji tzw. Rządu Tymczasowego utworzonego przez okupantów jako marionetkowa agentura, były wynikiem realizacji wcześniejszych projektów i planów Polskiego Państwa Podziemnego. Ponieważ Rząd Tymczasowy nie miał własnego programu, ani zdolności wypracowania takiego, pozwalał przez pewien czas na realizację projektów Polskiego Państwa Podziemnego, przedstawianych przez różne ciała społeczne. Oczywiście, przypisując sobie zasługi.

Nie mam informacji, czy istniał odpowiedni program odbudowy rolnictwa, ale tą sprawę załatwiło w niedalekiej przyszłości objęcie funkcji ministra rolnictwa przez Stanisława Mikołajczyka. Przybył z Londynu i wszedł do nowo utworzonego, tzw. Rządu Jedności Narodowej, usiłując choć w pewnym stopniu umożliwić Polakom wpływ na własny los. Niezależnie od utworzenia PSL, do którego przeszedł cały Ruch Ludowy i związanej z tym chwilowej ulgi politycznej, Mikołajczyk okazał się znakomitym organizatorem i zgromadził zespół świetnych fachowców. W rezultacie w rewelacyjnie krótkim czasie chłopskie spichrze napełniły się zbożem, a po paru latach w każdym obojętności coś chrząkało, gdało i muczało. Od roku 1947 aż gdzieś do 1951 głód stał się w Polsce pojęciem nieznanym, a ludność odżywiała się dużo lepiej, niż w reszcie Europy.

Niestety, ten dobry początek miał też swoje złe strony. Pozwolił on ekipie komunistycznej na propagandę sukcesu, podobną do tej, od jakiej rozpoczął rządy Hitler. Pewna część ludzi i zwłaszcza młodzieży, uległa tej propagandzie i pozostała w jej kręgu - mimo, że już w roku 1951 i ostatecznie w 1952 wyczerpał się zapas opracowanych wcześniej planów. Próby stworzenia nowych pod kierownictwem Hilarego Minca, który otrzymał pełnię władzy, swojego rodzaju dyktaturę w dziedzinie gospodarczej i rozbudował ogromną machinę biurokratyczną podporządkowaną tzw. PKPG, doprowadziły do zapaści i regresu gospodarczego. Na krótko przerwała to dewaluacja i wymiana pieniądza (to znaczy rabunek oszczędności obywateli, oficjalnie nazwany rabunkiem spekulantów). Jednak, nawet przejściowy postęp na początku, w połączeniu z hałaśliwą i ogłupiającą propagandą sukcesu spowodowały, że wprowadzony przemocą ustrój, jednak zwiększył bazę społeczną. Poparcie z początkowej, marginalnych 5%, wzrosło do być może 10 do 20%, a

*dotychczas jednolita i solidarna postawa społeczeństwa załamała się. Zwłaszcza, że po stronie okupacyjnej ekspozytury znaleźli się nie tylko oportuniści oraz ludzie źli i nikczemni, szukający okazji aby się wyżyć. Naiwni idealisci i ci wszyscy, którzy uwierzyli propagandzie popartej początkowym rozwojem i poprawa warunków życia, zostali oszukani. Nasuwa się przerażająca myśl, że gdyby Niemcy tak postępowali, bardziej inteligentnie i podstępnie, z mniejszym bestialstwem a lepiej wykorzystując psychologię, to być może mogliby osiągnąć podobny rezultat. Może to ich zaślepienie albo pycha, przekonanie że nie potrzebują się wysilać, sprawiły, że Polacy zachowali tak piękną i czystą kartę z lat wojny. Chociaż autor woli wierzyć że to podobieństwo, zbieżność w ustanawianiu i rozwoju reżimu totalitarnego w Niemczech przed, a w Polsce po wojnie, jest wynikiem śmierci najlepszych. Skutkiem negatywnej segregacji.*

\* \* \*

Jeden z pierwszych dni marca 1945, rano. Angus nie siedział w ławce szkolnej, w klasie było kilka takich, za małych na jego rozmiar. Dobrze zmieścił się na krześle za stolikiem, dwuosobowym, który dzielił z nowym kolegą. Siedzieli prawie w rogu pomieszczenia, od strony drzwi. Jeszcze jeden stolik stał za nimi. Klasa licealna I A nie była liczna, tylko 26 osób, większość chłopców. Wszyscy w płaszczach lub kurtkach, bo wprawdzie budynek usiłowano ogrzać, ale to nie wystarczało. Mrozy nie były aż tak silne, jak w poprzednich wojennych latach, ale jednak minus kilkanaście stopni na dworze, w nocy odpowiednio więcej. W klasie temperatura była dodatnia, ale oddechy parowały mimo, a może dlatego, że większość wypowiedziała się za uchynieniem okna. Pierwszy dzień, jeszcze nie wiele nauki. Profesorowie raczej zapoznawali się z klasami, a uczniowie między sobą i z nowym otoczeniem.

Angus jeszcze wciąż nie mógł pogodzić się z myślą, że nie chodzi do jednej klasy z Mateuszem, swoim najlepszym przyjacielem. Nie było sposobu, żeby mu to wyperswadować. Mateusz zapisał się do klasy IV gimnazjalnej, mimo, że byli właściwie na tym samym poziomie, wprawdzie nie przerobił do końca matematyki i fizyki, ale poza tym wszystkie przedmioty miał zaliczone. Angus już poprzednio zaczął przerabiać z nim matkę i przysięgał, że w ciągu kilku tygodni uzupełni wszelkie braki, przecież równania kwadratowe skończyli bez najmniejszych trudności. Mateusz był bystry i szybko łapał, a Angus nieraz uprzednio pomagał

kolegom w matematyce, czuł w sobie entuzjazm i talent do uczenia. Ale Mateusz i zwłaszcza jego ojciec byli perfekcjonistami, zapewne to cecha dziedziczna albo zaszczepiona. Poza tym profesor Jaruga uważał, że wysłanie syna do liceum bez 100% pełnego przerobienia całego materiału gimnazjalnego byłoby nadużyciem stanowiska i zwłaszcza nauczycielowi tej szkoły, nie wypada tak postąpić. A matka popierała go, chciała mieć syna jak najdłużej w domu, przynajmniej tak przypuszczał Angus. Daremnie Angus perswadował, że te niewielkie braki uzupełnią łatwo, po prostu z palcem w nosie. Nie ma sensu wracać do 4 klasy gimnazjum, gdy więcej, niż 90% materiału jest znakomicie opanowane, bo jak już wspomniano, Mateusz uczył się bez taryfy ulgowej i miał wyniki nadprzeciętne.

Jednak Mateusz zgodził się ze zdaniem ojca, że syn profesora uczący się w tej samej szkole, po prostu musi być prymusem, wzorem i przykładem. Nic mu to nie zaszkodzi, jeżeli jeszcze raz gruntownie przerobi czwartą klasę. Trudno, Angus nawet dla jego towarzystwa nie chciał wracać, przeciwnie, miał wrodzony ciąg do przodu. Przerobił i ukończył cały program gimnazjalny, nawet mowy nie było, żeby teraz miał tracić niepotrzebnie rok, to byłoby niewybaczalne marnotrawstwo. Stanęło na tym, że pójdą do innych klas, ale przecież to ta sama szkoła, nadal zostaną przyjaciółmi. I zostali, pewien czas, bo jednak kontakt stopniowo słabł.

Dzięki temu, że dotąd prawie codziennie Angus widywał się z Mateuszem, miał stale bieżące wiadomości o tym jakie są perspektywy na otwarcie gimnazjum. Już w pierwszym tygodniu po przejściu frontu, Dyrekcja Tajnego Gimnazjum oraz dawny wydział oświaty Delegatury na powiat Ostrowiecko-Opatowski, teraz przemianowane na społeczny komitet, rozpoczęły starania w tej sprawie. O wyniku wspomniano, a bezpośrednim skutkiem było, że teraz Angus tu siedział.

Kilkanaście dni temu ojciec Angusa wyjechał w drogę do Poznania. Szczerze mówiąc, po raz pierwszy w życiu Angus niepokoił się o ojca i współczuł mu, ale bynajmniej nie z powodu wyjazdu i związanych z tym niebezpieczeństw. Od pewnego czasu zaobserwował znowu u ojca objawy kryzysu. Już raz widział taki kryzys, zresztą sam też go przedtem przeszedł i wtedy ojciec go wyciągnął prawie przemocą za uszy. Potem zobaczył, jak to ojciec z kolei stał się apatyczny, tylko grał w karty, albo przy braku partnerów sam układał pasjansa i odpalał dosłownie jednego papierosa od drugiego. Sytuacja się zmieniła i znowu wróciły nadzieje. Ale ojciec coraz gorzej znosił wojenne lata i bardzo się postarzał, wręcz zdiadział. Może dlatego, że dokuczał mu brak aktywności. Za najważniejszy obowiązek

uważał, aby nie pracować dla okupanta i dlatego trzymał się z dala od kolei, choć potem z konieczności trochę zmodyfikował te zasady i dwukrotnie pracował w cukrowni w czasie kampanii. Właściwie jednak to matka wykazywała inicjatywę i utrzymywała rodzinę, ojciec jej tylko pomagał. Ale ta pomoc nie zawsze była po jej myśli, zaczęła wypominać mu błędy, a w końcu go po prostu pomniejszać. Może to zresztą on sam wyolbrzymiał swoje błędy i stopniowo przeniosło się to na żonę. W każdym razie cierpiała jego duma, przed wojną utrzymywał rodzinę i był jej głową, co za degradacja. Rabunek przez maruderów niemieckich tuż przed przejściem frontu nie wynikał z jego winy, a jednak uważał, że miał głupi pomysł. Żona też to wypominała. Do tego jeszcze rozpoczęły się kłopoty z prostatą. Ta dolegliwość starszych mężczyzn, nie stanowi dzisiaj takiego wielkiego problemu, ale wtedy nic nie było można poradzić. A dla człowieka, może nie przesadnie eleganckiego, ale przywykłego do pedantycznego zachowania porządku i czystości to była tragedia. (Nawet jeżeli pobyt w sowieckiej strefie okupacyjnej częściowo „wyzwolił” go z "burżuazyjnych przesądów").

Jednak wiadomość, że organizuje się na nowo Dyrekcja Kolejowa w Poznaniu, a nawet więcej, że ma ona objąć cały zachodni okrąg, o powiększonym obszarze, podziałała jak głos trąb archanielskich. To, że ekipa ma jechać w nieznaną, jak się da i do miasta, gdzie wciąż jeszcze trwają walki z Niemcami, nie miało znaczenia. On miał robić właśnie to, w czym był dobrym specjalistą, jak sądził, niezastąpionym. Na to czekał całą wojnę, obecnie wróciło mu życie. Rwał się naprzód i nie chciał słuchać o żadnej zwłoce, ani dobrych rad, że lepiej trochę poczekać, bo to ryzykowne. Dla niego to był najważniejszy, odnaleziony sens istnienia. Nagle się zmienił, nawet niepowodzenia traktował lekko i z humorem.

Angus koniecznie chciał jechać razem z ojcem. Argumentował, przekonywał, że może się przydać, że potrafi lepiej i szybciej reagować, jest sprawniejszy fizycznie, sprawdził się już w trudnych sytuacjach. Ale ojciec był stanowczy. Nie ma mowy, rodzina na razie pozostaje w Ostrowcu, aż przyśle wiadomość, czy i kiedy można przyjechać. Przede wszystkim, jedzie grupa samych kolejarzy bez osób towarzyszących czy postronnych. To nie wycieczka, zabierają tylko najpotrzebniejszych i dopiero mają utorować, przygotować drogę dla następnych grup. Na razie nawet nie wiadomo, jak i czy tam dotrą. Na uwagę, że tym bardziej syn może się przydać, chce po prostu dołączyć jako jeden dodatkowy, silny a głupi, ojciec odpowiedział, że to nonsens. On nie jedzie się tam bić ani brać udział w strzelaninach, od tego są inni i zrobią to lepiej. Natomiast on zna się na tych sprawach

fachowych, którymi zajmował się przed wojną. I o to właśnie chodzi, nikt inny nie da sobie rady. Jak w powiedzeniu, "navigare necesse est, vivere non est necesse", a kolej jest bez porównania ważniejsza od żeglugi. Więc jadą tylko ci niezbędni, koniec, kropka. Nie ma czasu na dalsze dyskusje i żaden smarkacz nie będzie mu przeszkadzał. Angus najlepiej zrobi, jeżeli zajmie się swoimi sprawami i zacznie znowu uczyć, to też ważne. Niech nie przepuści najważniejszego, pierwszego momentu, w przyszłości od tego zależeć będzie jego wartość.

Nie było rady, ojciec wyruszył chyba na początku lutego, nie mając pojęcia jak i kiedy dojadą. Matka z Angusem zostali na razie w dawnym mieszkaniu. Sklep był zamknięty, dlatego, że nic w nim nie było, zapasów żywności nie mieli żadnych, nawet dla siebie. Ale kto by się tym przejmował. Jakoś przeżyją, przecież po wojnie nie mieli zamiaru prowadzić knajpy. We wojnie, wiadomo, robiło się różne rzeczy żeby przeżyć, a teraz już nie. To nie snobizm, ale po prostu taki sposób życia im nie odpowiadał i nie umieli tego robić tak jak trzeba. Angus po prostu nienawidził stać za kontuarem i nalewać wódkę, zwłaszcza gdy trafił się pijak. Czuł się tak, jakby znalazł się w Zoo z koszmaru, po niewłaściwej stronie ogrodzenia.

Matka nadal mieszkała w kuchence, natomiast Angus przeniósł się do pokoiku na zapleczu, jak w czasie choroby. Sam sklep to puste półki nad pustymi szafkami, trzy stoliki i kilkanaście krzeseł, a nawet nie dało się usiąść do czytania lub pisania z powodu zimna, więc nie warto było odsłaniać okiennic i w środku było ciemno.

A jednak właśnie, do sklepu przyszło dwóch ludzi, inspekcja czy też komisja do walki ze spekulacją. Matka tłumaczyła im, że od "wyzwolenia" żadnej działalności nie prowadzą, zostali obrabowani przez odchodzących żołnierzy niemieckich i nie mają w ogóle żadnego towaru, nawet sami nie mają co jeść. Na dowód, pokazała im nie tylko lokal sklepowy, ale własną spiżarnię, w której rzeczywiście było tylko trochę ziemniaków, to samo gotowało się na piecu. W rzeczywistości, nie było aż tak źle, na śniadanie był chleb i nawet mleko. Matka, licząc się z przyszłym powrotem do Poznania, wyprzedawała po trochu meble i rzeczy z mieszkania lub wymieniała na żywność. Jedli wprawdzie skromnie, ale to przecież normalne, w ówczesnej sytuacji potrzeby materialne nie liczyły się. Jeden z tych panów pisał protokół, ale drugi wszedł do ciemnego pomieszczenia i kolejno otwierał szuflady. Angusowi przypominało to scenę z przedwojennego filmu, Wiernej Rzeki, gdy oficer przeszukuje ciemne pomieszczenie z ukrywającym się powstańcem. Otworzył okiennice, i wrócił,

gdy szukający nagle zeszywniał, znieruchomiał na chwilę, a następnie podszedł do oszklonych drzwi i stanął przy nich, zwrócony do ulicy. Angus zgadł o co chodzi i nie dziwił się napiętemu wyrazowi jego twarzy. Jednak żadna dalsza reakcja nie nastąpiła, a po dłuższej chwili człowiek ten podszedł do swego towarzysza piszącego i powiedział, żeby się pośpieszył, bo mają jeszcze wiele podobnych kontroli i czas ruszać dalej. Dopiero po ich odejściu, Angus pokazał matce zawartość tej ostatniej szuflady.

Leżało w niej pełno niemieckich granatów zaczepnych, na drewnianych trzonkach. Pod nią, druga nie otwierana szuflad zawierała to samo. Akurat w ostatnich dniach, Angus znalazł całą skrzynkę i oczywiście przyniósł ją do domu. Miał obecnie upragnione zapalniki. Wiedział, jak się to robi: do takiego granatu można było przewiązać jedną, dwie, a nawet do trzech kostek trotylu (Niemcy stosowali zunifikowane ładunki po sześć cegiełek). Ewentualnie można wykręcić sam zapalnik i włożyć w okrągły otwór w kostce, ale to nie zawsze gwarantowało wybuch, lepiej wcisnąć choć gram plastyku i następnie wdusić weń zapalnik, który ponadto trzymał się, jak przyklejony. Oczywiście, jeżeli się miało plastik, aż tak daleko jego bogactwo nie sięgało.

Oczywiście, granatów ani żadnych uzbrojonych pocisków nie wolno przechowywać razem z materiałami wybuchowymi. Granat nie powinien sam wybuchnąć, jednak istniała taka minimalna możliwość. Małe prawdopodobieństwo, znikome, ale zdarzały się takie wypadki. Jednak granat zaczepny nie ma wielkiej mocy i w razie czego, nie wyrządziłby aż tak wielkich szkód. Ale eksplozja kilkuset kg trotylu, nie mówiąc już o minach talerzowych, zmiotłaby wszystkie okoliczne domy. Dlatego Angus schował przyniesione granaty prowizorycznie w ostatnich z kilkunastu pustych szuflad w sklepie, tylko przejściowo, do czasu, aż obmyśli lepszy schowek. Granaty wymagają lepszych warunków przechowywania, niż kostki trotylu, są bez porównania bardziej wrażliwe na wilgoć, warunki meteo itd. Więc były trudności z obmyśleniem odpowiedniego schowka.

- Ty w ogóle sobie zdajesz sprawę ze swojej głupoty - wsiadła na niego matka. - Przecież teraz, jak po nas przyjdą, to nie będziemy mogli wziąć ze sobą do więzienia nic ciepłego do jedzenia, ani nawet naczynia na zupę (to przemawiało przez nią doświadczenie z obozu), bo będą podejrzewać, że przemycamy coś wybuchowego! Na szczęście, matka nie zdawała sobie sprawy, co znajduje się w komórce za domem, gdyby jeszcze o tym wiedziała! Ale w razie czego, rewizja jak w banku.

- Jakoś się wytłumaczę, powiem że znalazłem je tego ranka i właśnie

miałem odnieść na milicję. - To bliskie prawdy, granaty znalazł rzeczywiście niedawno.

- To lepiej weź je i idź natychmiast. -

Matka wyciągnęła teczkę i Angus włożył do niej część granatów, ale zamiast na milicję, zaniósł je do domu Jarugów. Jednak Mateusz też nie chciał ich przechowywać i zgodził się tylko na krótko. Wprawdzie sam przechowywał karabin i amunicję do niego, wykonał w tym celu wprost artystycznie wydrążoną belkę - zawsze był złotą rączką. Ale granaty to co innego, długo leżący granat staje się coraz mniej bezpieczny, w każdym razie on tak uważał. Może z powodu nienajlepszych doświadczeń z „sidolówkami” konspiracyjnej produkcji.

Gdy Angus wrócił do domu, zobaczył, że matka rzeczywiście przygotowała węzełek z najpotrzebniejszymi rzeczami, na wszelki wypadek (do więzienia). Wyniósł resztę granatów i wrócił, ale przez cały dzień nic się nie zdarzyło. Widocznie członek inspekcji czy komisji wolał milczeć. Bardzo rozsądnie, znając późniejsze UB, gdyby to zgłosił, do niego też by coś przyłgnęło. Jeszcze po latach podejrzewano by, że to człowiek, który tak czy inaczej, już nie wiadomo dokładnie, ale zamieszany był kiedyś w próbę zamachu na władzę ludową. Może zresztą by się przyznał na badaniach.



Następnego dnia Angus dowiedział się, że odzyskano w końcu gmach gimnazjum i wkrótce rozpocznie się nauka. Od zaraz mogą się zgłaszać ochotnicy do czyszczenia i prac porządkowych. Jednak Angus tylko okazjnie i raczej mało pomógł, z bardzo prozaicznego powodu. Okazało się, że ma tak obdarte i wystrzępione ubranie, że po prostu wstyd się pokazać. Zwłaszcza spodnie, które matka łątała już przedtem, tym razem nie nadawały się do naprawy, za bardzo ucierpiały podczas jego nocnych wypraw, czołgania się po ziemi i przeciskania pod drutami kolczastymi. Matka dokonała przeglądu garderoby, ale po opisanym rabunku, właściwie

nie było co przeglądać. Znalazła się wprawdzie marynarka od reprezentacyjnego garnituru ojca, granatowa dwurzędówka, długa, prawie żakiet. Na Angusie leżała jak ulał, akurat normalna długość i wyglądała wspaniale. Ale spodni nie było z czego uszyć. W końcu znalazł się worek z gęsto tkanego, "dychtownego" płótna, od cukru- pudru. Z tego mocnego materiału matka uszyła coś oryginalnego. Wzorowała się na starych pumpach, ale uprościła krój, Jakby na nowo odkryła coś podobnego do amerykańskich dżinsów, ze ścięciem na wierzchu i nakładanymi kieszeniami, ze wzoru pozostały tylko zapięcia na kostkach. W każdym razie, wytrzymałe, wprost nie do zdarcia. Prawie białe, spodnie z worka, w sam raz na łódkę. Do tego ciemny żakiet, w środku zimy trochę zbyt ekstrawaganckie. Matka ufarbowała je najpierw na kolor brązowy, potem po raz drugi w resztkach jakiegoś ciemno-stalowego barwnika. W sumie wyszedł kolor ciemny, a w świetle słonecznym wpadał w orzech. W takim właśnie stroju, Angus rozpoczął naukę. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, stroje bywały wtedy różne. "Ubrałem się, w com tam miot", to dotyczyło większości. Zresztą i tak siedzieli w kurtkach.

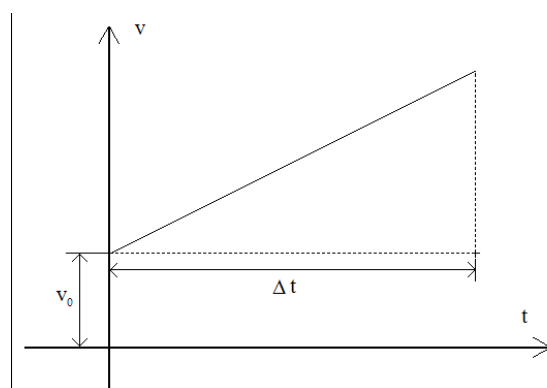
Głos dzwonka przejął Angusa dreszczem, miał uczucie jakby czas się cofnął. Do klasy wszedł mocno starszawy pan, to Mazzurowicz, miał być opiekunem klasy. Najwyraźniej posunął się mocno w ostatnich latach, a może był wzruszony, bo dreptał w miejscu, wycierał okulary i pryskał śliną. Miał tylko jeden przedmiot, biologię, ale pierwsza lekcja zeszła na pogaduszki. Oprócz Angusa, znał i uczył wielu innych.

Następna lekcja potoczyła się normalnie. Języka polskiego nie miał ich uczyć profesor Jaruga, ale pani Filanowicz, zwana przed wojną Filomeną. Podobno bystra, miała swoją słabość czy raczej ulubionego konika. Uwielbiała poezję romantyczną i lepiej było czuć to samo, a przynajmniej tak mówić, od razu zapewniając pełną harmonie między uczniem i panią profesor. Ale do tego zostało mnóstwo czasu, ta lekcja zaczęła się od "Dai, ja pobrusam, a ty pocziwai" i Kazań Świętokrzyskich, Na następnej może dotrą do Bogurodzicy. Okazało się, że w Liceum wracają jeszcze raz po materiał znany już z gimnazjum. Tylko inaczej, otwarta dyskusja, własne sądy i myśli. Mogą być kontrowersyjne, nawet szokujące, bez ograniczeń.

Jednak dla Angusa dopiero następna, właściwie dwie następne lekcje to był szok i wstrząs, od pierwszej chwili. Na lekcję fizyki wszedł - nie, - tak, - to niemożliwe, - a jednak - podporucznik "Leśnik". Były dowódca Angusa z najważniejszego i trudnego okresu życia, kiedy z niedoświadczonego, pełnego marzeń i bzdurnych myśli ochotnika, przepoczwarzał się w

żołnierza. Od dnia, kiedy nieuzbrojonych chłopaków (niezupełnie, a granat to pies?) przetrzucono z oddziału Potoka, do momentu, kiedy paskudna infekcja lekko draśniętej stopy zmusiła do pozostawienia go na kilka dni koło przypadkowej chaty. Stamtąd zabrał go już inny oddział i tam właśnie doczekał końca epopei. Angus rozpoznał znajomą sylwetkę najpierw, po butach z cholewami. Na chwilę zmyliło go to, że te buty nie były pokryte kurzem, ale lśniły od jasnych bryczesów aż do ziemi. Ale to był na pewno "łoś łodciętych", choć inny, ogolony, przylizany, bo uczesany to mało powiedziane. Nie tylko w marynarce, ale i krawacie, chyba spięty, Angus po raz pierwszy widział go spiętego, przecież to człowiek znany z tego, że zawsze był na luzie, nigdy nie okazał najmniejszych objawów emocji. Czyżby nie prowadził jeszcze żadnej lekcji, to znaczy przed całą klasą i stanowiło to większe przeżycie, niż stanąć przed frontem oddziału? Czy go poznał? Przecież musiał dostrzec znajomą twarz, w drugim rzędzie koło lewego kąta, ale jeżeli tak, ani jednym mrugnięciem oka tego nie okazał.

Jestem Alfons Wojszczyk,- przedstawił się i kolejno wyczytał uczniów. Gdyby Angus miał najmniejsze wątpliwości, to teraz mógł usłyszeć głośno i wyraźnie, Łorłowski i Łokoń, a gdy podniósł się on sam, to Wojszczyk spojrział na niego zupełnie tak samo, jak na innych. Potem bez żadnych wstępów, rozpoczął lekcję. Mówił dość szybko, zacinając się trochę, ale w sposób kompetentny i zorganizowany. Mechanika, ruch jednostajnie przyspieszony. Bez początków rachunku różniczkowego, wyprowadzenie jest trochę okólne, trzeba uzasadnić, skąd bierze się  $1/2$  przy gt-kwadrat.



Załatwił to trochę inaczej, niż w książce, posługując się pojęciem ciągu i rysunkiem. Inaczej, ale elegancko, można powiedzieć. Potem od razu rzut ukośny, przedstawiony jako funkcja i badanie tej funkcji. No, więc wreszcie doszli do łosi, rzędnych i łodciętych, a żeby wszystko było jasne, rysować na tablicy miał „Łorłowski”. - Na mnie nadal nie spojrzysz, widocznie i ja nie

powiniennem go poznawać, jak za Niemców, - myślał Angus i automatycznie, przed oczy wróciły obrazy z przeszłości. Ciężkie myśli, wciąż nie mógł zapomnieć, jak działając w najlepszych chęciach, ściągnął nieszczęście na innych. Wprawdzie nie swoich, ale do których (tj. Kałmuków) nie czuł żadnej nienawiści. Nie miał pojęcia, ilu przez niego zginęło. Do Leśnika, zachował wdzięczność i szacunek.

Tymczasem profesor (właściwie ten tytuł przysługiwał profesorom mianowanym, przynajmniej tak było przed wojną; Mazzurowicz, Jaruga - to profesorowie, nowi to nauczyciele kontraktowi; zwrot miał charakter grzecznościowy) mówił mało. Atakował kredą tablicę, wyprowadzając kolejne wzory, aż rozlegał się stukot. W ciągu kolejnych lekcji, zrobił trudny kawał materiału, tym bardziej, że nie było jeszcze matematyki, klasa nie rozpoczęła trygonometrii. Więc przed czasem, trzeba było wyjaśnić pojęcia sinusa i cosinusa. Na deser podyktował szereg zadań do rzutów i od razu powtórki, rozkładanie sił i proste ćwiczenia z poprzedniej klasy. W rodzaju, jak obciążone są cztery nogi stołu przez położony asymetrycznie ciężar.

Nie tylko na Angusie zrobił wrażenie. Dziewczyny jak zwykle jęczały, że to straszne i nie dadzą sobie rady - choć wiadomo, zwykle uczą się najlepiej. W pierwszych latach po wojnie, panował jeszcze ten sam duch, co w czasie wojny. Naukę traktowano bardzo na serio, to za mało powiedziane, z entuzjazmem i szacunkiem. W każdym razie w szkołach, które poznał Angus. Młodzież nie tylko chciała się uczyć, żyła tym i starali się z całych sił, jak w konspiracji. Od czasu, kiedy kształcenie się było niebezpieczne, kosztowne i wymagało wielu poświęceń i wyrzeczeń, ci co mieli taką możliwość, a nie wszyscy mieli, wprost wychodzili ze skóry. Potem stopniowo moda się zmieniła.

\* \* \*

Z czterech lekcji pierwszego dnia, ostatnie dwie wymagały prawdziwego wysiłku umysłowego. Z początku nikt nie wychodził, wszyscy wracali do materiału, starali się przyswoić i zrozumieć wzory, no i przymierzali się do zadań. Wielka chwila dla Angusa, któremu strona matematyczna nigdy nie nastroczała trudności, a ciekawe rozumowanie łąpał w lot. Od tej chwili jego pozycja w klasie była ustalona. Nie ważne, jakie miał ubranie, nawet gdyby przyszedł w starych podartych portkach, został kimś, liczył się.

Jednak w czasie pierwszych dni zachowywał rezerwę i nie zawierał

bliższych znajomości. Owszem, wszystko układało się jak najlepiej, szkoła bardzo mu odpowiadała. Potwierdziło się jeszcze raz, że uczenie się jest czymś co lubi najbardziej, zwłaszcza w dobrej grupie. Mógłby to robić całe życie, ale nie chodziło o satysfakcję. Miał konkretne plany i to nie tylko co do nauki, a więc wymagające ostrożności. Żadnego z nowych kolegów, ani koleżanek nie znał, ani nikt z jego znajomych, nie uczył się z nimi. Wprawdzie nie ulegał panice i nie wierzył w czarne prognozy, czekające Polskę. Jednak dawało do myślenia, że wszystkie istniejące dotąd organizacje i struktury konspiracyjne zaprzestały działać, znani mu ludzie nagle zniknęli, albo pochowali się, a przedtem stali się bardzo nerwowi.

Wyjaśnienie było proste: w ciągu lat wojny, społeczeństwo wyrobiło sobie reakcje obronne, kamuflaż przed Niemcami oraz niemieckimi kolaborantami i zdrajcami. Istniał wspólny front przed dotychczasowym okupantem. Teraz zagrożenie się zmieniło. Część ludzi, walczących z dotychczasowym okupantem, wobec których nie zachowywano dotąd ostrożności, lecz zasadę, może ograniczonego, ale jednak zaufania, znalazła się po drugiej stronie barykady. Kolaborowali, z innym okupantem. Uprzednio, traktując ich jako sprzymierzeńców mających prawo do odmiennych poglądów, rozmawiano zbyt otwarcie. Także oportuniści we własnych szeregach, albo przeszli na stronę tego, kto na górze, albo byli gotowi to zrobić. Wreszcie tacy, co spanikowali i nie chcieli uczestniczyć w beznadziejnej walce. Albo przeciwnie, uważali że nie taki diabeł straszny i z komunistami też można się dogadać, lub współpracować, aby zdobyć wpływ, a potem użyć w dobrym celu (jak dla kogo. dobrym?). Zmiany nie gwałtowne ale stopniowa ewolucja.

Krótko mówiąc, dotychczasowe struktury konspiracyjne przestały być tajne, wprost przeciwnie, widoczne jak na dłoni. Niebezpieczeństwo przyszło z innej strony, nastąpił rozpad organizacji. Angus oceniał tą nagłą zapaść jako tchórzliwe podporządkowanie się przemocy i nie rozumiał ani nie chciał się z nią pogodzić. W jego pojęciu, należało odżałować ofiary i walczyć dalej. Ofiary były i przedtem, jednak to nikogo nie paraliżowało. Niemcy byli nie mniej niebezpieczni, zdarzały się wielkie wsypy, aresztowania, czasem dekonspiracja na dużą skalę. Niemcy też nie byli idiotami, mieli sprawny aparat śledczy i rozbudowaną agenturę zdrajców i prowokatorów. A jednak po pewnym czasie odbudowano struktury organizacyjne, nowi ludzie zastępowali tych, co zginęli i działalność podziemia trwała. Skąd teraz takie załamanie?

Oczywiście, nie ma mowy o walce z Armią Czerwoną. To przecież wróg

naszego wroga, więc automatycznie sojusznik, czasowy, aż do ostatecznego pokonania Niemiec. Ale należy utrzymać i odbudować własne siły, organizacje polityczne i struktury wojskowe i cywilne. Przecież po tej wojnie, w której Polska odegrała tak wybitną rolę, nie do pomyślenia jest, żeby mogła utracić swój byt i niepodległość. W dodatku na rzecz agresora, który rozpoczął wojnę wspólnie z Hitlerem i dopiero po latach znalazł się po przeciwnej stronie, gdyż dotychczasowy przyjaciel zniemacka go napadł. (Właściwie od początku było wiadomo, że z obu podpalaczy świata, każdy tylko oczekuje odpowiedniej chwili, żeby wbić nóż w plecy drugiemu. Spółka bandytów, którzy nie zamierzali się dzielić. Świat był by za mały dla Hitlera i Stalina, gdyby zwyciężyli).

Angus był w błędzie. To, co odczuwał jako stagnację i rozpad, zaniedbanie dążeń niepodległościowych, to w rzeczywistości konieczna faza, powrót do głębokiej konspiracji i próba ocalenia kadr. Struktury Armii Krajowej i inne na razie przetrwały. Starano się je zachować, Jednak nawet to minimum się nie udało, nastąpiły aresztowania kierownictwa AK, Delegatury Rządu i kierownictwa innych organizacji. Struktury odtworzono, ale nie przetrwały długo, kolejne również i tak dalej. W ciągu roku zniszczono do pięciu kolejnych zespołów. Mimo to organizacja nadal istniała. Zmieniono jej nazwę, z AK na NIE, a potem WIN, od "Niepodległość", względnie "Wolność i Niepodległość". Nowi ludzie zastępowali poprzednich "jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec". Mimo kolejnych klęsk, organizacja wojskowa trwała i wciąż odradzała się, aż po latach władzy komunistycznej udało się wprowadzić agentów i prowokatorów do samego centrum. Powtórzyła się historia powstania styczniowego, agenci (UB i Informacji) przejęły kierownictwo konspiracji.

Z drugiej strony, doły organizacyjne, prości członkowie i żołnierze, nie rozumieli co się dzieje. Dotyczyło to zwłaszcza młodzieży, wciąż przepełnionej etosem walki, która toczyło się na jej oczach, a częściowo przy jej udziale. Pozostała część, która nie zdołała wziąć w walce udziału, mimo najlepszych chęci, tym bardziej pragnęła to nadrobić. Nie rozumiejąc sytuacji, chcieli walczyć nawet jeżeli, jak niektórzy sądzili, kierownictwo ich opuściło. Prawie w każdej szkole średniej, spontanicznie powstawały tajne organizacje, czasem o fantastycznych nazwach, jak np. Obrońcy Maryi, albo Wiary, często na wyrost, jak Powstańcze Wojsko Polskie, Armia Wolności itp. Te armie liczyły zwykle do kilkudziesięciu członków, niepełnoletnich. Na razie, organizujące się dopiero Milicja Obywatelska i Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego wraz z Urzędami Bezpieczeństwa (jakie

obłudnie nazwy, po prostu "diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni") nie działały skutecznie. Aparat przemocy spełniał na razie rolę pomocniczą, naprawdę niebezpieczne były NKWD, przemianowane na KGB i wywiad radziecki. To one zajęły się kierownictwem Polskiego Ruchu Oporu i trzeba przyznać, śmiertelnie skutecznie. Natomiast MO i UB składały się z zupełnie surowych i prymitywnych ludzi, dopiero materiał do przeszkolenia. Zajęli się tym "doradcy sowieccy", których ilość rosła, szybko przysyłano coraz nowych. Po pewnym czasie to oni przejęli bezpośrednio kierownictwo nawet małych terenowych urzędów, wyszkolili i wybrali zbirów bez sumienia na swoje usługi.

Z początku, panowała duża płynność kadr. Stopniowo pozbyto się ludzi mających opory moralne, także i byłych partyzantów Armii Ludowej oraz uczciwych, ideowych komunistów. Na ich miejsce przyjęto ludzi, na których był tzw. "hak", to znaczy takich, na których ciążyły różne plamy i przestępstwa i których, gdyby nie wypełnili poleceń, można łatwo skazać za dawne winy. W ten sposób do UB trafił znaczny odsetek agentów i szpicli niemieckich. Po pierwsze byli to już ludzie fachowo przeszkoleni, po drugie szczególnie gorliwi, chcieli się wykazać, bo się bali, gotowi na wszystko, by uniknąć odpowiedzialności.

W parę lat później, gdy kadry były wyszkolone i rozbiły podziemie, przyszła kolej i na młodzież szkolną. Więzienia zapełniły się, często-gęsto dziećmi, które tworzyły i wstępowały do tajnych organizacji wierząc, że to patriotyczny obowiązek. Wiele tysięcy młodych ludzi miało, jak się to mówi, przechlapane, to jest złamane życie. Jeżeli mieli szczęście i przeżyli, wyszli z więzień dopiero po pierwszej odwilży w 1956 r, wtedy zaczęto zwalniać nieletnich bez względu na wysokość wyroku. Jednak ci co wyszli, często mieli zrujnowane zdrowie. Śmiertelność po wyjściu z więzienia była wysoka z początku, a także potem większość zwolnionych przewlekłe chorowała i przedwcześnie zmarła. Więzienia bowiem, tak "usprawniono", że nawet Niemcy mieliby się czego uczyć.

Nie trzeba dodawać, Angus miał te same, typowe, zamiary. Nawiązać jakiś kontakt, albo jeszcze lepiej odtworzyć stary, ale to się jak dotąd nie udało. Jeżeli nadal nie, to utworzyć organizację i potem razem prowadzić poszukiwania dalej, a w najgorszym razie działać samodzielnie. Próbował tej drogi parę razy poprzednio, a obecnie miał już staż i doświadczenie, wiedział jak się to robi. Na początek trzeba ostrożnie poznać środowisko, przyjrzeć się otoczeniu. Jak wspomniano, atmosfera była dobrą, wspaniałą, ale na razie zachował wstrzeźliwość z zawieraniem bliższych znajomości.

Wolny czas po lekcjach, spędzał z Mateuszem, nadal odwiedzali się prawie codziennie i trzymali razem. Ojciec Mateusza był jednym z filarów ciała pedagogicznego, należał do przedwojennych, mianowanych profesorów i cieszył się jak najlepszą opinią. Pełnił obecnie różne funkcje, związane z organizacją i odtwarzaniem Gimnazjum i Liceum Ostrowieckiego. Dyrektorem był nadal dyrektor konspiracyjnego gimnazjum z lat okupacji niemieckiej. Jarudze proponował stanowisko wicedyrektora, uchylił się, ale pomagał doraźnie. Ciało pedagogiczne składało się z kadry przedwojennej, uzupełnionej w czasie wojny przez nauczycieli pomocniczych, teraz kontraktowych. Zatrudniono ich więcej, poszukiwano kandydatów z wyższym wykształceniem, co nie było wcale łatwe, biorąc pod uwagę to, że Niemcy starali się wymordować przede wszystkim inteligencję. Jednym z takich, nowych i cennych nabytków był właśnie Alfons Wojszczyk. Mateusz twierdził, że grono składało się prawie z samych porządnych, wypróbowanych ludzi ze stażem okupacyjnym. Prawie, bo był jednak jeden niechlubny wyjątek.

Niestety, chodziło o przedwojennego nauczyciela języka niemieckiego, Furmanka. W gimnazjum nie było wyboru języków, z powodu braku innych nauczycieli uczono wyłącznie niemieckiego. Angus spotkał Furmanka jeszcze w 1940 roku, gdy rozpoczął naukę matematyki u Moranowskiego, Furmanek mieszkał w tym domu. Zajmował dwa pokoje, a raczej pokój z prowizoryczną kuchenką na pierwszym piętrze. Dziwne wrażenie budził starszy mężczyzna, nieco mniej, niż średniego wzrostu o potężnym bębnowatym torsie, oraz dużej głowie, pokrytej prawie jednorodnie siwą szpeciną, równej długości na brodzie i na czaszce, 3-4 mm. Dom był ogrzany, jednak niezwykle wygląda w zimie człowiek w sandałach na bosych stopach, co rzucało się w oczy gdy schodził po drewnianych schodach. Trzymał się bardzo prosto, wręcz sztywno. W paru rozmowach z Angusem wspomniał, że, on nie interesuje się światem, bo wszystko na nim, to jedno wielkie gównno, lecz stara się przebywać w sferze ducha, wzniosłości i piękna. W młodości należał do „Eleusis”, wyznawał i wyznaje nadal zasadę potrójnej wstrzemięźliwości oraz inne zasady, których Angus dobrze nie rozumiał, będąc dwunastoletnim chłopcem. Gadanie o wzlotach duszy w krainę doskonałości wydało się mętne i mało interesujące. Przyszło mu do głowy, że ten pan pozuje na filozofa i stoika dla tego, żeby oszczędzić sobie prania, z tego powodu też nie nosi skarpet, a krótko przystrzyżone włosy upraszczają toaletę....

Furmanek nie uczył w tajnym gimnazjum. Udzielał prywatnych lekcji

niemieckiego, raczej rzadko, brakowało chętnych. Ze zdziwieniem Angus zauważył, że Moranowski liczy się ze zdaniem Furmanka i traktuje go poważnie. Wyraźnie, coś ich łączyło. Gdy Moranowski rozpoczął karierę jak wschodząca gwiazda ekipy komunistycznej, sprawa się wyjaśniła.

Mateusz podzielił się z Angusem tym, co dowiedział się od ojca oraz własnymi spostrzeżeniami. Furmanka w pokoju nauczycielskim otacza próżnia, wszyscy obawiają się z nim rozmawiać na tematy polityczne i nawet o bieżących wiadomościach, praktycznie o wszystkim z wyjątkiem pogody i zdrowia. Wspomniano już uprzednio o nieracjonalnej awersji Angusa do nauki języka niemieckiego. Otóż, jeszcze ciągle mu nie przeszła i nie był w tym żadnym wyjątkiem, podobne, powiedzmy szczerze, głupie uprzedzenie, żywiło wielu innych uczniów. Zarówno w jego klasie jak i Mateusza, a prawdopodobnie także w innych. Jednak Furmanek nawet nie usiłował uczyć swojego przedmiotu, natomiast zamiast tego rozpoczął na swoich lekcjach coś w rodzaju zajęć polityczno-wychowawczych (jak się to później nazywało), krótko mówiąc propagandę ideologiczną. Mateusz zdążył już ułożyć o tym jeden ze swoich wierszyków, który odczytał Angusowi:

Furman idzie, okiem błyska,  
głowa w górę podniesiona  
ze szczeciną. Widać z pyska,  
Gęba z tydzień nie golona.  
Brzuch ogromny przodem niesie,  
gdyż się kaszy objadł rano,  
tej na rzadko, bo już wiecie,  
że słoninki mu nie dano.  
Wszedł do klasy, spojrzął dumnie,  
który z AK się zapytał  
i wywodzić ją "rozumnie",  
czym w ogóle polityka.  
Łotrze stary, renegacie  
poza naszym tyś już progiem  
czyś zapomniał, .....  
precz z Ojczyzną i precz z Bogiem.  
itd.....

Furmanek rozpoczął studia w Krakowie, o parę lat wcześniej od profesora Jarugi, nie spotkali się tam, gdyż albo ten uniwersytet jemu, albo on uczelni jakoś nie przypadli do gustu, do dziś źle ją wspominał. Przeniósł

się do Wiednia i studiował filozofię, jednak chociaż studiował gruntownie, to znaczy dłużej niż przeciętnie, jakoś zrezygnował z uzyskania stopnia akademickiego. W Wiedniu wtedy, stereotypem był stopień doktora, ale tego tytułu Furmanek nie używał, nie wrócił z żadnymi literami przy nazwisku, nic nie wiadomo o jego teoriach, systemach, wkładzie myśli.

Wspominał podobno, że widział w tym czasie Hitlera, zapewne przelotnie, gdyż o żadnym zetknięciu albo rozmowie nie wspomniał (może znajomość z tego samego przytułku, czy noclegowni). Powróciwszy do Galicji, przez pewien czas trzymał się w pobliżu W. Lutosławskiego, potem w Eleusis nastąpił jakiś rozłam, albo zamieszanie, trudno powiedzieć, gdyż wzmianki stały się, podobnie jak idee, raczej mętne. W czasie I Wojny Światowej, został austriackim oficerem („ein Man, der doch studiert hat...”), ale frontu rozsądnie uniknął i poprzestał na stopnia Lejtnanta. Dobrze wspomina armię austriacką, jak najlepszy okres życia i może z tego powodu nosi się tak prosto i sztywno. Zapewne do tego tematu, trzeba by Haszka...

Po 1918 r zaczął uczyć języka niemieckiego. Chociaż nie studiował literatury lecz filozofię, Uniwersytet Wiedeński stanowił wystarczającą legitymację. Najpierw prywatnie, potem na statusie nauczyciela kontraktowego, jednak brak stopnia uniwersyteckiego stanowił przeszkodę przy mianowaniu, także w zakresie filozofii pozostał nieznany. Jednym słowem, życie nieudacznika, który jednak miał o sobie wyjątkowo wysokie mniemanie, a o innych kiepskie; zarozumiały i mający się za pokrzywdzonego przez los, świat i ludzi.

Może i nie przypadkiem wspomniał Hitlera, początek życia trochę podobny i kto wie, czy nie miał podobnych ambicji i pewnych zadatków na dyktatora, powiedzmy, o parę poziomów niższego rzędu. Też zszedł w dół, między lud, lecz wybrał komunistów. Jednak nie stworzył własnej odmiany ruchu i nie pochwycił steru, zadowolił się tym, że jako człowiek wykształcony stanowił wyjątek i w tym środowisku traktowany był z szacunkiem. Podobnie, jak przedtem w armii, "...ein Herr, der doch studiert hat...", przewyższał ludzi w większości prymitywnych, półinteligentów.

Dziwne, bo absolutnie nie wierzył w materializm, ani zwykły, ani tym bardziej historyczny, raczej nadal przebywał w wyimaginowanym świecie wybrańców ducha, dziwnej mieszaninie Platona i trochę Pitagorasa z Lutosławskim. Ponieważ jednak to kraina dostępna tylko najświatlejszym umysłem, nie ma sensu mówić o tym z pospólstwem. Obojętnie, co myślą zwykli ludzie, tym bardziej nie ma sensu zaprzeczać ich poglądom, skoro i tak nie są ani lepsze, ani gorsze od innych, równie błędne. Zresztą, kiedyś

próbował ich oświecić, ale z tego nic nie wyszło. Więc prościej było przytaknąć za cenę uznania i podziwu. Krótko mówiąc, rzekomy stoik w rzeczywistości stał się cynikiem. Jeżeli to, co czuł do swoich towarzyszy nie było pogardą, to różnica jest subtelna, aż trudna do zauważenia.

W dyskusjach, jakie prowadził zamiast lekcji swego przedmiotu, nie starał się wybielać komunistów. Przedstawiać ich tak, jak to robiła pisząca prymitywnie do granic naiwności lub głupoty, hałaśliwa prasa. Podobnymi zwrotami, jak przedtem o hitlerowcach, jako o jedynej słusznej, sprawiedliwej i wspanialej partii. On stwierdzał po prostu, że cała polityka to jest jedno wielkie szambo i taplają się w nim jednakowo wszystkie partie. Jeżeli więc wszyscy są nieuczciwi, to niby dlaczego komuniści mieliby stosować inne metody, gdy nadmiaru skrupułów zagrażał by utratą szans. Krótko mówiąc, każde świństwo jest usprawiedliwione, wszyscy postępują jednakowo, a moralność jest obłudą, dla mydlenia oczu naiwnym.

Wielekroć powtarzał, że istnieją dwie kategorie ludzi: ci, co znają wewnętrzny mechanizm, wiedzą, jak świat jest urządzony - i ci, którzy dają się oszukiwać i kierować. Członkowie AK to ludzie naiwni, dali się złapać na piękne słówka. Sterują zaś nimi i wysyłają na śmierć politycy, intryganci bez sumienia, w imię własnych interesów. On właśnie dla tego pragnie otwarcie podyskutować, żeby uchronić niedoświadczoną jeszcze, chociaż mającą dobre intencje młodzież przed popełnieniem błędu. Należy wznieść się ponad własne uprzedzenia i kierować rozsądkiem. Wkrótce, ten tekst usłyszał i Angus w klasie. Była tylko jedna droga postępowania: wytrzymać w milczeniu, z lekko znudzoną miną słuchać słów, jak oczywistej prawdy. Bez dyskusji. Mimo to, Furmanek powtarzał swój monolog z niewielkimi odmianami wciąż w kółko.

Oczywiście, tkwił w tym widoczny na pierwszy rzut oka błąd: tych chłopców i dziewcząt nikt, nigdy i do niczego nie musiał namawiać. Raczej przeciwnie, to oni sami ze wszystkich sił starali się, żeby wziąć udział w walce, żeby ich broń Boże nie minęła. To wcale nie było łatwe. Byli wprawdzie tacy, którym się udało, trafili stosunkowo łatwo. Inni jak Angus, starali się ze wszystkich sił, a jednak zaledwie otarli się o autentyczny udział (książka opisuje te starania, z minimalnym efektem; trochę ponad dwa miesiące w lesie, tyle co nic). Wreszcie tacy, którzy bardzo pragnęli i traktowali to jako najważniejszy cel życia i najświętszą sprawę, a mimo to nie zdołali się załapać. Teraz czuli się z tego powodu niedowartościowani i starali wykazać, że nie są gorsi.

Nikt nimi nie manipulował ani nie musiał sterować, chyba, że od

urodzenia robili to rodzice, dom, potem szkoła, książki, może i kino, słowem wszystko, z czym się stykali. Może rzeczywiście głupcy, synowie głupców, często wnukowie i prawnuki głupców. Byli głupcy od pokoleń, ale również głupcy nie wiadomo skąd, pochodzący z "rozsądnych" rodzin. Wśród tej młodzieży, głupcy byli w większości, potem zostali mocno przetrzebieni. Ale mimo intensywnej selekcji przez specjalne siły pod kierunkiem czołowych specjalistów radzieckich, wciąż nadal rodzili się nowi głupcy. Nawet gdy rodzice-głupcy milczeli, a dzieci poddawano w szkołach "rozsądnemu" wychowaniu, nagle po dojściu do samodzielnego myślenia też zapadały na podobną głupotę. Skaza genetyczna, albo zaraźliwy wirus.

Oczywiście, byli też "rozsądni", ostrożni. Zawsze, w czasie poprzedniej okupacji też. I jednak, stopniowo proporcje ilościowe zaczęły się zmieniać, "starania" władz działały. A także oportuniści, gotowi służyć temu, kto jest górą, też ich przybywało. Po kilkudziesięciu latach słyszało się czasem:

- „Ten a ten to porządny człowiek, nikomu nie zaszkodził, no ale cóż, do partii musiał się zapisać, po prostu dla kariery.”-

\* \* \*

- Przecież to proste, zastosujemy ten sam wzór, co filomaci, filareci i promieniści, - zaproponował Gienek Forlarński.

Angus zamrugał oczami, oszołomiony. Uczył się o Mickiewiczu, znał splątane wątki „Pana Tadeusza”, mógł dyskutować o okresie wileńskim, kowieńskim, o Marii Wereszczakównie albo salonach rosyjskich, o tle sonetów krymskich albo twórczości emigracyjnej. Wiedział też teoretycznie, co to jest konspiracja wielopoziomowa i zapoznał się praktycznie z zasadami, podczas tworzenia Związku Słowian Zachodnich. Jak to, do diabła możliwe, że nie skojarzył tego wcześniej? Przecież to takie oczywiste, tajne związki na Uniwersytecie Wileńskim, klasyczny przypadek. Dlatego Nowosilcow tak długo prowadził śledztwo, wysiłał się, a nie dotarł do sedna. To wszystko wyjaśnia, niskie wyroki, raczej środek ostrożności przy nie udowodnionym podejrzeniu i tajemnicze wzmianki w utworach i życiorysie. Znał wszystkie dane i nie powiązał ich ze sobą, co za osioł.

- Proponuję, żebyśmy my, jak tu stoimy, utworzyli ośrodek, który obmyśli metody aktywnej walki i wybierze taktykę oraz przygotuje metody osiągnięcia celu, wolności i niepodległości dla Polski. Z kolei dobierzemy sobie grono najbardziej zaufanych i pewnych kolegów, wraz z nimi utworzymy organizację. Może po pewnym czasie, kiedy ich lepiej poznamy,

dobierzemy do wewnętrznego koła jeszcze jednego albo paru, ale w zasadzie organizacja będzie miała własne kierownictwo i działała samodzielnie, nie świadoma, że jest inspirowana od wewnątrz przez nas. Na razie, nie wspominamy o otwartej walce, raczej o wymianie myśli, swobodnej dyskusji. Bez zakłamania i tego, co dzisiaj drukują w gazetach. Nie ma się co łudzić, stopień zakłamania wkrótce wzrośnie w miarę jak rozbudują cenzurę. Gdy tylko komuniści się umocnią, przykręcą śrubę. Może więc w przyszłości dojdzie tajna gazetka, choć na razie nie widzę takiej możliwości. Ale dyskusje w grupkach, pielęgnowanie tradycji niepodległościowych i narodowych, zachowanie własnej myśli i umiejętności oceny na początek. Jednym słowem przeciwstawianie się propagandzie okupantów i prawo do własnej świadomości.

I wreszcie trzeci stopień, coś w rodzaju promienistych, Ojczyzna, Nauka, Cnota. Duży nacisk na wzajemną pomoc w nauce, z uzasadnieniem, że najgorsze zło powstałe w wyniku wojny, to brak ludzi wykształconych. Polska inteligencja poniosła największe straty, stanowiąc główny cel okupanta, dokładniej mówiąc obu okupantów. Zginęła większość, teraz, aby odbudować Polskę, trzeba wykształconych ludzi. Najlepiej także i mądrych, chociaż, sama nauka tego nie gwarantuje. Stawiamy sobie za cel maksymalnie współpracować w tym, pomagać sobie i innym. Tylko tyle. To jest bardzo dobre dążenie i powinno chwycić, w czasie wojny powstał ogromny ciąg do nauki i ten trend utrzymuje się nadal, jeszcze nigdy nie było tylu chętnych do nauki.

Żaden z tych celów nie jest pozorowany, wszystkie są autentyczne i bardzo potrzebne, także te wstępne można z powodzeniem traktować jako samodzielne, Dążenie do zdobycia wykształcenia, pielęgnowanie ducha patriotycznego, tradycji niepodległościowych i swobody myśli może z powodzeniem funkcjonować niezależnie od najważniejszego, przygotowania do czynnej walki.-

Dwaj pozostali biorący udział w tej rozmowie, Angus i Bobek Sójka, całkowicie się z tym zgadzali. Jak do niej doszło?

Przy końcu marca, trafiały się dni cieplejsze, śnieg to tajał, to znów zamarzał. Zima tego roku była zdecydowanie krótsza i łagodniejsza. Któregoś dnia, klasy licealne miały uczestniczyć w jakimś wiecu czy masówce. Wyszli z gimnazjum w czwórkowej kolumnie i oczywiście ze śpiewem. Od razu jako pierwszy, zaczęto śpiew od marszu Ponurego:

"Hen z dala od naszej rodziny i bliskich

my AK żołnierze od Gór Świętokrzyskich"...

Nie wszyscy znali, ale poszły wszystkie zwrotki i zaraz potem

"Hej, po polach dmie wichura,  
słota, błoto, ładny kram,  
lecz co znaczy dla piechura  
choćby nawet diabeł sam"...

Następnie Marsz Mokotowa, a potem:

"Hej chłopcy, bagnet na broń..."

Niezapomniane przeżycie, Angus musiał przymykać oczy i zaciskać ręce, nie chciał okazać, że łyzy mu się cisną i jakiś skurcz chwyta za twarz. Czuł jedność z kolegami tak, jakby w gronie bliskich przyjaciół wyruszał przecie wrogowi. Chyba wielu się wzruszyło, innych też chwyciło. Od tej pory marsz oddziału Ponurego śpiewano stale, przy każdej okazji, stał się jakby nieoficjalnym hymnem szkoły.

To była odpowiednia chwila. Po powrocie, Angus zaczął do dawna planowane rozmowy z obu od dawna upatrzonymi kolegami, proponując założenie tajnej organizacji, póki nie znajdą poważnego kontaktu. Zgodzili się bez namysłu, mieli podobne zamiary i teraz dyskutowali plan działania.

Bogdan Sójka, dla kolegów Bobek, był najaktywniejszą osobą, jaką Angus spotkał. Zapasy jego energii wprost zdumiewały. O dwa lata starszy od Angusa, należał do częstego w klasie rocznika 26. Był synem nauczyciela, ojca nie widział od 1939r. Ale według ostatnich wiadomości ojciec wciąż żył, jako oficer rezerwy spędził wojnę w niewoli w stalagu. Nawiasem mówiąc, mniej więcej w rok później szczęśliwie wrócił do rodziny. Na razie Bogdan, podobnie jak Angus jedynak, mieszkał samotnie z matką, która stała się bardzo religijna i prosiła wciąż Boga, żeby oszczędził jej syna. Rzeczywiście, miała powody lękać się o jego los, Bobek ze swoim charakterem nie mógł usiedzieć spokojnie, zresztą był harcerzem, w czasie wojny należał do Szarych Szeregów. Do partyzantki się nie dostał z powodu wady wzroku, bez okularów widział na dwa kroki, ale w konspiracji pełnił funkcje łącznika i to nie tylko w Ostrowcu, odbywał długie trasy rowerowe. Poza wzrokiem, po prostu tryskał zdrowiem. Bardzo dobrze i silnie zbudowany, chociaż od Angusa niższy o pół głowy, jakby w ogóle nie

podlegał znużeniu, żelazny człowiek. Gdyby jeszcze miał to bystre, przenikliwe spojrzenie, można by prawie powiedzieć, w typie Ponurego. I też nigdy nie zaklął, przez cały czas znajomości Angus usłyszał raz albo dwa, jakieś przypadkowe "do licha.

Eugeniusz Forlański przeciwnie, typ czystej krwi, wydelikaczonego intelektualisty. Znacznie starszy, dwadzieścia jeden lat i nie jedynie, najmłodszy z kilkorga już samodzielnego rodzeństwa. Pochodził z tzw. lepszej sfery, w domu przechowywano portrety przodków i sygnet (którego nie zakładał, podobnie jak nigdy nie wzmiankował o majątku rodzowym, straconym jeszcze przed I Wojną Światową). Ojciec, działacz endecji zginął w jednej z pierwszych, tzw. akcji AB na wiosnę 1940r. Matka otworzyła pralnię chemiczną, największą w Ostrowcu i radziła sobie nad podziw dobrze, choć nie miała żadnego przygotowania, a to nie łatwy kawałek chleba. Wiele kobiet odkryło podczas wojny niespodziewane zdolności, jak już wspomniano, z konieczności. Zatrudniała kilka osób, syn też pracował i nie miał czasu na naukę. Niewątpliwie inteligentny, bystry i odcytany, także obyty, ale zmęczeniu podlegał łatwiej nawet od Angusa, nie potrafił robić czegoś zbyt intensywnie, na przykład pracować i jeszcze się uczyć. Teraz uczył się doskonale, ale nie nadawał się do długich wysiłków. Jego matka, przeciwnie, miała nadmiar energii, ale nie skierowała jej w stronę polityki ani konspiracji, lecz kółek religijnych przy parafii do (tego stopnia, że złe języki łączyły ją zbyt blisko z proboszczem Młynkowskim). Angus miał nadzieję, że to plotki, o księdzu miał kiepskie zdanie. Też nadmiar energii.

Początkowo Angusowi przychodziło do głowy, że Forlański mógł znaleźć się w ich gronie na podobnej zasadzie, jaki oni przyjęli dla organizacji, jako czynnik inspirujący z czyjegoś ramienia, na przykład endecji. Ale nic na to nie wskazywało. To Angus zaczął rozmowy, dokonał wyboru i pierwszy okazywał inicjatywę. Forlańskiego trzeba było raczej nastawić, a potem, owszem, myślał mądrze, ale musiał mieć czas.

A nie zawsze wybór Angusa był dojrzały. Od pewnego czasu, Angus zaczął jednak interesować się znowu dziewczynami. Nadal uwielbiał i czcił jedną ukochaną kobietę, ale stopniowo pogodził się z tym, że sprawa jest beznadziejna, nie ma i nigdy nie będzie powrotu, a nie chciał żyć tylko wspomnieniami. No i pewnych funkcji organizmu nie mógł wykluczyć, chociaż myślał, jak to będzie, gdy z wiekiem własne organy przestaną go dręczyć. Więc postanowił wybrać sobie dziewczynę, a ponieważ wydawało się, że taka zimna kalkulacja jest cyniczna, postanowił że rozejrzy się za taką, w której można się zakochać miłością doskonałą. Da z siebie wszystko

i nie będzie żądał niczego w zamian, w każdym razie, dopóki jego wybrana nie odpowie mu takim samym uczuciem. Krótko mówiąc, że będzie postępował jak dawni rycerze wobec damy swego serca i dążył wyłącznie do jej szczęścia, bez względu na swoją osobę.

W klasie było mniej dziewczyn, niż chłopców, a więc to one mogły przebierać. Jemu podobały się z początku dwie, ale po kilku dniach skoncentrował się na jednej, drugą traktując jak urocze zjawisko. Hanka Zbiżyńska była trochę starsza od niego, podstawowy rocznik 26, ale bez porównania mniej dojrzała i doświadczona, można powiedzieć, jeszcze dziecinna. Jako córka i najmłodsze dziecko, stanowiła oczko w głowie ojca i bardzo ciężko przeżyła, gdy został on w 1942r. aresztowany i osadzony w obozie. Ojciec, inżynier mechanik, przed wojną założył spory warsztat, zatrudniający kilkudziesięciu pracowników przy produkcji sprzętu rolniczego. Firma rozwijała się doskonale i właścicielowi powodziło się dobrze, obok zakładu wybudował piękny i duży dom dla rodziny. W czasie wojny wprawdzie wyznaczono Treuhaender'a, ale Zbiżyński był najlepszym fachowcem, nikt nie potrafił go zastąpić, faktycznie nadal je prowadził. Patriota i fachowiec zajął się bronią i na tym wpadł, wraz z kilkoma współpracownikami. Wprawdzie znaleziono tylko takie części, które mogły służyć do różnych celów, a on tłumaczył się zręcznie, niczego nie udowodniono, ale podejrzenie wystarczyło. Trafił do Oświęcimia. To było rok wcześniej nim zdarzyła się znana sprawa w Suchedniowie. Nie skonstruował pistoletu maszynowego Stena, ulepszonego przez genialnego Korbkę. Chodziło o proste części, sprężyny, pasujące do polskich Visów.

Po aresztowaniach, warsztaty produkowały nadal maszyny rolnicze, zatrudniając parędziesięciu ludzi. Teoretycznie stanowiły wciąż własność Zbiżyńskiego i jego rodziny, a praktycznie nigdy, niczego nie odzyskali. Jeszcze w czasie okupacji, żona czuła się właścicielką, gdyż Treuhaender nie znał się i sprawy fachowe pozostawił w rękach młodego inżyniera, którego dobrał sobie jeszcze Zbiżyński. Ten zaś pozostawał lojalny i starał się wszystko konsultować z panią Zbiżyńską, a nawet uczył dzieci, Hankę i jej starszego brata, mieszkając nadal w ich domu. Po wojnie jednak, chociaż zakład nie zatrudniał nigdy określonej ustawą liczby 50 zatrudnionych, wyznaczono zarząd przymusowy i zwolniono dotychczasowego kierownika technicznego. Starania rodziny oraz najstarszego syna, pełnoletniego i z praktyką zawodową, nie odniosły skutku, z wyjątkiem, całkowitego zakazu wstępu. Rodzina wysłuchiwała poważnego ostrzeżenia, gróźb, które lepiej traktować serio. Ale ciągle mieli

nadzieję na powrót ojca. Wiadomości były takie, że zdołał przeżyć do końca w Oświęcimiu, widziano go w kolumnie więźniów, pędzonych przez SS-manów przed zbliżającym się frontem na zachód, w stronę Niemiec. Niektórzy więźniowie mieli szczęście i ocalili, teraz zaczęli wracać i przynosili wieści. Mówili, że Zbiżyńskiego żył i rodzina wypatrywała go wciąż, każdego dnia, w każdym powracającym spodziewając się ujrzeć znajomą twarz - daremnie. Nie dotarła żadna wiadomość ani znak życia.

Uprzedzając czas, wyjaśnijmy od razu, że przeżył on do końca obozu, ale w złym stanie fizycznym, stracił około połowy wagi i był na granicy wyczerpania. Straszliwego marszu śmierci już nie wytrzymał, pędzeni więźniowie padali gęsto na śniegu i mrozie. Zbiżyński zmarł już w końcu pierwszego tygodnia, a ponieważ wielu padło w drodze, pierwsza wiadomość o jego śmierci dotarła dopiero w lecie. Na razie rodzina wciąż żywiła nadzieję i czekała. Ponieważ ojciec Hanka przewidziany był, w planowanej akcji odbudowy Śląska na kierownika wydziału mechanicznego jednej z hut koło Gliwic, a jego prawa ręka inżynier Stachurski też miał tam się znaleźć, jako jego zastępcą, rodzina dopuszczała możliwość, że najpierw udał się tam, objąć swoje nowe obowiązki i może przesłał wiadomość, która zaginęła, poczta wciąż działała niepewnie. To też inżynier Stachurski, i tak zwolniony jako zaufany człowiek dawnych właścicieli, wyjechał na Śląsk na swoje nowe miejsce pracy, przy czym miał dać znać, gdy się czegoś dowie. Wydaje się, że Hanka była w tym opiece rodziny platonicznie czy dziecinnie zakochana i odczuła jego wyjazd.

Właśnie to, że Hanka była często zamyślone i daleka, spojrzenie w przestrzeń i nagła powaga od czasu do czasu (potem dowiedział się, jakie są powody jej smutku), zrobiły wrażenie na Angusie. Pragnął poprawić jej nastrój, sprawić, żeby uśmiechała się częściej i mogła cieszyć życiem. Zresztą to były tylko chwile melancholii, młoda dziewczyna, rozmawiała i śmiała się z koleżankami, myślała szybko i prawidłowo, jedna z najlepszych uczennic. Siedziała w sąsiednim rzędzie stolików i o jedno miejsce do przodu, a więc w stronę środka klasy, akurat na linii widoku katedry i nauczyciela, a także tablicy, bo ta nie była umieszczona na środku ściany, ale trochę przesunięta do okien.

Zwykle ładne dziewczyny dobierają sobie brzydszą koleżankę, ale ta akurat siedziała z drugą, może jeszcze ładniejszą i z początku Angus też się nią interesował. Marysia Okoń wyglądała jak bujna polska dziewczyna, większa, niebieskooka i o jasno-żółtych włosach, żywa, wesoła, nawet roztrzepana. W gruncie rzeczy to pozory, była bardzo dzielna, straciła

matkę jeszcze w czasie wojny 1939 i faktycznie to ona opiekowała się ojcem i młodszą siostrą, lub być może opiekowali się sobą nawzajem. Ale takie miała usposobienie, zawsze uśmiechnięta trzpiotka. Może nawet ładniejsza, w każdym razie na pierwszy rzut oka, bo Hanka miała urodę delikatniejszą, ale im dłużej się na nią patrzyło, tym więcej znajdowało się pięknych szczegółów. A zwrócony stale w stronę tablicy, po prostu nie mógł jej nie widzieć.

Zarówno w okresie wcześniejszym jak wówczas, Angus oceniał się krytycznie, miał o sobie kiepskie zdanie. Po pierwsze, prawie nic mu się w życiu nie udało, wciąż usiłował i nic z tego nie wychodziło, albo dopiero po wielu nieudanych próbach. Jego koledzy nie napotykali jakoś na takie przeszkody, dostali się łatwiej, do konspiracji i potem do lasu też. Miał się więc za nieudacznika. Nie brał pod uwagę, że zwykle rzucał się na trudne rzeczy i przeważnie miał marne szanse, małe prawdopodobieństwo sukcesu już na starcie. A starał się z całych sił i mimo wszystko, czasem był blisko celu. Ponieważ wzorował się na papierowych bohaterach z książek, kontrast był szczególnie wielki. Im zawsze wszystko się udawało, bez względu na trudności. Poza tym był zdania, że liczy się tylko ostateczny rezultat, tak jak w matematyce, wynik jest albo dobry albo zły, nie może być trochę dobry, takie pojęcie służy do pocieszania dzieci.

Matka strofowała go często, w najlepszych intencjach, podobno dla jego własnego dobra. Angus przekonany, że zasługuje na ciągłą krytykę, dopiero później zorientował się, jak wiele kobiet stosuje tą metodę. Matki, siostry, żony, kochanki (to znaczy stałe, z początku nie), nawet córki za wszelką cenę chcą nas ulepszać. Zwykle nie mają zasadniczych zastrzeżeń, ale dostrzegają każdy szczegół na minus, w rodzaju: dobrze, zdałeś egzamin, ale jak ty mogłeś tak pójść, przecież róg kołnierzyka ci się podwinął, co sobie profesor pomyślał o twoim wyglądzie! Na dłuższą metę to delikwenta pomniejsza, w końcu wpędza w kompleksy. Z drugiej strony, taki trening od najmłodszych lat miał ten dobry skutek, że w przyszłości Angus został uodporniony na „życzliwe” uwagi. Mniej więcej podobnie, jak pobyt w lesie uodpornił go na niesmaczne dowcipy i kawały odbierające apetyt. Nic nie mogło obrzydzić mu jedzenia, po prostu nie zwracał uwagi. Jak się to mówi, jednym uchem słucał a drugim wypuszczał; krytyk też.

Nie miał obycia ani doświadczenia z dziewczynami. Wprawdzie raz przeżył, największe uczucie i chwilę nadziemskiego szczęścia i uniesienia, ale to nie mogło trwać. Takie chwile zdarzają się niezmiernie rzadko, prawdopodobieństwo jest miliony razy mniejsze, niż pierwsza wygrana na

loterii, nie mogą się powtarzać. To mniej więcej, jak żądać, żeby jakiś cud powtórzył się kilka razy. Przecież nawet na loterii nie zdarza się, żeby taka sama wygrana na te same numery powtórzyła się. A wyjątkowy traf nie daje doświadczenia, wprost przeciwnie, w przyszłości może wprowadzać w błąd. Zwykle, rzeczy nie układają się w ten sposób między kobietą i mężczyzną. W tamtym wypadku, to było dokładnie tak, jakby dotknęła ich na chwilę ręka Boga i zaraz potem odrzuciła. Nie było w tym ich udziału, niczego, czego można by się nauczyć a tym bardziej powtórzyć. W gruncie rzeczy dobrze, że z powodu wiary i sumienia, powiedzmy szczerze - drugiej strony, rzecz została definitywnie zakończona. Gdyby próbowali to kontynuować, skończyłoby się klęskę. Więcej doświadczeń dawał onanizm, bo tutaj chociaż tylko jedna osoba, ale reagując w typowy sposób, doznaje przewidywalnych przeżyć. Reasumując, można przyjąć, że Angus nie miał żadnego doświadczenia z dziewczynami, a co do psychologii, nie wiedział nawet, jak się do dziewczyny zbliżyć i co zrobić, żeby zacząć się podobać.

Oczywiście to przesadny pesymizm. Po pierwsze, wprawdzie Angus osiągnął tylko słabe minimum w tym, co chciał za silnie, uważał za główny cel życia i najważniejszy obowiązek, los podrzucał mu nagrody pocieszenia. Miał dobre wyniki w nauce i orientował się szybko, wyprzedzając kolegów. Po drugie, niepowodzenia nie były totalną stratą, przeciwnie, dzięki nim się uczył, dowiadywał nowego i rozwijał. Właśnie powtarzane wciąż próby, usiłowania i dążenia mają decydujący wpływ na kształtowanie osobowości, sukcesy nie wzbogacają umysłu. Wreszcie, Angus nie był aż tak mało atrakcyjny, jak sobie wyobrażał. Choć najmłodszy szczeniak w klasie, był najwyższy, na równi z jeszcze jednym dryblasem, Felsensteinem (Polak mimo niemieckiego nazwiska, kiedyś z dodatkiem von, jego przodkowie przybyli z Saksonii jeszcze za króla Sasa; należał do AK, lecz nie trafił do partyzantki ze względu na gruźlicę, którą później podleczył). Ten kolega siedział bezpośrednio za nim, obaj przerastali resztę klasy, po 185 cm wojskowej miary, bez butów. Angus był młodszy, ale masywniejszy, trochę ponad 80 kg. Właściwie za dużo jak na chłopca w jego wieku, bolał nad tym, ale bez przesady.

A tak naprawdę, wtedy liczyło się, jak się kto uczy i co umie, a opinia wzajemna samych uczniów była ważniejsza, niż otrzymane stopnie i oceny. W tym zakresie, Angus zaliczał się do ścisłej czołówki. Może nie zawsze wzorowy i obowiązkowy, ale najlepszy i o wiele długości najszybszy z matematyki. Nawet długie obliczenia rozwiązywał momentalnie w pamięci, z przymkniętymi oczyma widział wirtualnie pół, a na upartego całą stronę

zapisu zeszytowego. W innych przedmiotach, pamięć również mu dopisywała i szybkie myślenie. Gorzej wyglądały przedmioty humanistyczne. Wprawdzie historia starożytna, którą akurat przerabiano, zawsze stanowiła namiętność, dzisiaj powiedzielibyśmy hobby Angusa. Jego wiadomości wykraczały poza obowiązkowy program, ale obraz mijał się z prawdą, były fałszywie wyidealizowane. A co do języków, no cóż, błędów w polskim na pewno nie robił, ale ciągle nie mógł zdobyć się na precyzję, myśl niosła go, gdzie chciała. Zaś języki obce, konkretnie Niemiecki - zero, nie można by dać innej oceny, niż – „niesklasyfikowany”. Lekcje z języka niemieckiego były fikcją, w podobnym położeniu była większość klasy.

Pierwsze nawiązanie kontaktu, na myśl o czym Angus z początku panikował, poszło nadspodziewanie gładko. Wiadomo, samo patrzenie na siebie dziewczyny wyczuwają instynktownie, jak ptaki (tzn. szpaki, wróble nie reagują). A potem, gładko rozpoczęli rozmowę na tematy przedmiotowe, zaczęło się od fizyki wraz z zastosowaniem matematyki jako narzędzia no i praktycznym wykonywaniem obliczeń. Rozmowy, owszem, dotyczyły aktualnie przerabianego materiału, ale i wybiegły poza to. Angus był mile zdziwiony, jak interesujące stały się dla obu stron. Wkrótce pod wrażeniem intelektu dziewczyny, Angus zaproponował przyjęcie Hanka, od razu do wewnętrznego koła. Twierdził z dużym przekonaniem, że jedna dziewczyna będzie potrzebna jako przedstawicielka, chociażby ze względu na punkt widzenia i lepsze zrozumienie swojej płci. Uzasadniał to tak gorąco, że przekonał kolegów.

To był błąd; Hanka nie nadawała się na waleczną amazonkę, ani na dramatyczną heroinę, ani na fanatyczną działaczkę podziemia, żelazną damę, lub Matę Hari. To była delikatna, dobra i ciężko przez los doświadczona dziewczyna. Funkcje kierownicze nie leżały jej, lecz poważnie obciążały. Mimo to, jako dobra Polka i patriotka, propozycję przyjęła i starała się wykonywać je jak mogła najlepiej.

Angus też do niej nie pasował, dobry początek tylko skomplikował sprawy w przyszłości. Zawracał dziewczynie głowę, nie mając nic do zaoferowania. Ukochana i trochę rozpieszczona córka ojca, który zginął, potrzebowała nie tylko pociechy, ale opieki i oparcia. Angus natomiast wyobrażał sobie wielką miłość na wzór książkowy. Zdecydował się na dalsze lata niebezpiecznego życia, jak mógł to pogodzić z troską o drugą osobę, dbanie o nią? Nie mówiąc już o tym, że żadna stabilizacja w ogóle nie była możliwa, nawet w perspektywie. Gdyby też się w nim zakochała, to byłoby fatalne. Stracić po raz drugi człowieka bliskiego, powtórzenie podobna

sytuacji mogłoby ją załamać. Angus stanowczo źle to przemyślał, nie rozumiał innych ludzi, był egocentrykiem. W swej sytuacji mógłby myśleć o krótkim i miłym flircie z całkiem inną osobą, nigdy o wielkiej miłości z dziewczyną na serio.

A pomysł, by mieszać wielie uczucie i poważne zadania, jakie sobie wyznaczył, był po prostu kretyński. Zdarza się czasem, że uczestniczące w konspiracji lub walce podziemnej osoby spotkają się i zakochają, gdyż po prostu nie mogą nic na to poradzić. To poważna komplikacja, niestety, muszą z tym żyć, jeżeli potrafią i jeśli im się uda, częściej kończy się tragedią. Ale, żeby zaofiarować ukochanej osobie, uczestnictwo w niebezpieczeństwie i ryzyko u swego boku, to mniej więcej tak, jak zabierać dziewczynę ze sobą na wojnę. Nie wolno mieszać obowiązków z przyjemnością, albo - albo.

Całe szczęście, że ta wielka miłość nigdy się nie rozwinęła, na razie była to raczej sympatia i przyjaźń ze strony dziewczyny, ze strony Angusa z dodatkiem zadurzenia. Choć, Hanka nadspodziewanie dobrze radziła sobie jako członek tajnej organizacji, o czym mowa dalej.

Na wstępnych naradach, które odbywały się w byłej piwiarni, zamkniętej, nieczynnej i pustej, idealnej do tego celu, obmyślili plan postępowania. Na razie dobrać czterech kandydatów do właściwej organizacji, to jest tyle samo, ile liczyło wewnętrzne koło. Dzięki temu, działając solidarnie mieli zapewnioną kontrolę i mogli przeprowadzić swoje zasady oraz wybór przywódcy, na którego typowali Forlańskiego. Najlepiej się nadawał, reprezentacyjny i rozważny, natomiast jak ustalono, ważniejsze decyzje miały należeć do wewnętrznego koła, w którym cała czwórka ma równe głosy i prawa. W rzeczywistości kierownictwo zbiorowe.

Angus upatrzył jeszcze paru kandydatów, wspomnianego już Felsensteina i siedzącego obok w tej samej ławce Garbalewskiego. Był to już dorosły mężczyzna z wąsem, nieduży i szczupły, jeżeli nie pół Angusa, to powiedzmy dwie trzecie. Garbalewski nie miał rodziców, tylko dalszą rodzinę. Pod koniec wojny wylądował w tzw. junakach, to coś w rodzaju hufców pracy. Junacy byli skoszarowani, a właściwie mieszkali w prowizorycznych obozach, zwykle koło jakiejś budowy, podlegali ściślemu nadzorowi.



Zaraz pierwszego dnia na wiadomość o rozpoczęciu koncentracji, wraz z pięcioma kolegami uciekł do lasu. Za nimi inne grupki, następnymi mieli trudniej, a ostatnich złapano. Zawsze warto być pierwszym, Angus doszedł dawno do takiego zdania. Cały obóz poddany został bardzo ostremu nadzorowi, pozostałych junaków wkrótce wywieziono na roboty do Niemiec (ironia losu, przecież znaleźli się tam dlatego, że służba w junakach miała zabezpieczać przed wywiezieniem do Niemiec). Garbalewski odbył staż partyzancki w tym samym okresie co Angus, też w II Dywizji Świętokrzyskiej, ale innym oddziale, nie spotkali się.

\* \* \*

**Kapsuła:** *Junactwo, Kompanie junackie, „Polnischer Baudienst im Generalgouvernement”, „Oddziały junackie i Służba Polsce”, Ochotnicze Hufce Pracy.*

*Idea junacka powstała w latach 1912-16 na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego z inicjatywy społecznej, w związku z ruchem skautowym, jako jego uzupełnienie, a następnie także konkurencja. Miała na celu przygotowanie do pracy i zapewnienie możliwości wyszkolenia fachowego dla młodzieży obojga płci, bez celów politycznych i w związku z tym nie była prześladowana przez zaborców.*

**Ponownie, po zakończeniu wielkiego kryzysu, do tej idei wrócił prezydent Mościcki, powołując w roku 1936 tzw. Kompanie junackie. Mościcki oprócz funkcji reprezentatywnych miał kilka bardzo dobrych inicjatyw (np. wspomniana Kuźnica itp.). Junacy, cieszyli się bardzo dobrą opinią. Ułatwiało to start życiowy bezrobotnej młodzieży, a po roku (z możliwością przedłużenia do dwóch) stanowiło doskonałą rekomendację na przyszłość. Niestety, z tego**

**powodu, okupanci, Niemcy wykorzystali tą dobrą markę do tworzenia oddziałów pracy niewolniczej („Polnischer Baudienst im Generalgouvernement”, a następnie Sowieci „Oddziały junackie Służby Polsce”). Przymusowe przenoszenie więźniów do tych formacji zakończyło się w 1956 r., wraz z okupacją Sowiecką, warunki pracy i płacy się poprawiły, można było starać się o przedterminowe zwolnienie. Ale dopiero po upadku komunizmu zmieniono ustawodawstwo i nazwę, na OHP, które faktycznie powróciły do pierwotnej idei. (Więcej informacji Wasser, Bruno: Himmlers Raumplanung im Osten. Der Generalplan Ost in Polen 1940-44, 1993 Birhauser Verlag, Postfach I33 CH 4010 Basel, Schweiz. ISBN 3-7643-2852-5 ).**

*Ciekawostka, pod okupację sowiecką, powołane po raz trzeci oddziały niewolniczej pracy pod nazwą Junacy - Służba Polsce, były znacznie liczniejsze. Wiele tysięcy więźniów, przeniesionych tam „dobrowolnie” straciło życie lub zdrowie za niską, niewystarczającą płacę w najcięższych warunkach, także kopalniach. Po roku 1990, ci co przeżyli, dostali częściowe odszkodowania.*

*Dla porównania, płace w Niemieckich Junakach spadły, a właściwie zmniejszyły się z powodu ok. 10 000% inflacji. Nie zmieniały się od początku do końca wojny, 1 zł dziennie, w 1944r za mało by kupić papierosa, a gazetę tylko dlatego, że propagandowe były bardzo tanie.*

\* \* \*

Forlański przeprowadził rozmowę werbunkową z Orłowskim, po Angusie najmłodszy uczeń, jeden z tych, co mieli szczęście zachować oboje rodziców, chociaż ojciec jeszcze nie wrócił, zagrożony aresztowaniem ukrywał się. Natomiast czwarty, Begier miał tylko matkę, oprócz rodzeństwa. Wszyscy propozycje przyjęli bez zastrzeżeń, po czym zgodnie z uzgodnionym scenariuszem Gienek Forlański został wybrany pierwszym komendantem. Na razie nie rozszerzano organizacji, ale zgodnie z planem przystąpiono do tworzenia kółek samopomocowych.

Jednocześnie Angus zaproponował pierwsze zadanie, można je nazwać przygotowaniem do walki: należało jakoś zadbać o zapas zgromadzonych przez niego materiałów wybuchowych. Już i tak za długo leżały w

gospodarczej komórce za domem, to niedopuszczalne. Aż dotąd nic się nie dało poradzić.

\* \* \*

- „Półtora roku temu, jesienią 1942r. przychodziłam tu często, żeby się w spokoju wypłakać. Z początku, jak zabrali ojca, mieliśmy ciągle nadzieję, że go wypuszczą, potem przyszła straszna wiadomość, że wysłano go do Oświęcimia, stamtąd się nie wracało, - mówiła Hanka Zbiżyńska. - Więc chodziłam na cmentarz, żeby nikt nie widział i najpierw płakałam za ojcem. Nie wiem właściwie, co się ze mną działo, myślałam, że on już może nie żyje i potem wyobrażałam sobie, że ja też umarłam, a mama i brat nas oplakują. Chciałam umrzeć, ale widzieć i słyszeć po śmierci, że nas żałują. Po pewnym czasie, gdy się ocknęłam, nie byłam pewna, czy zasnęłam, a może traciłam przytomność. Kilka razy późno wróciłam do domu, ale nic nie chciałam mówić, aż raz, już w listopadzie, matka znalazła mnie na cmentarzu. Byłam zziębnięta i mokra, bo zaczął padać deszcz i tego nie zauważyłam, matka prowadziła mnie do domu, a ja nie mogłam iść. Potem w domu matka zakazała mi przychodzić na cmentarz, bardzo mnie wykrzyczała i nawet groziła, że mnie zbije jak tam jeszcze raz pójdę, choć na pewno by tego nie zrobiła. Zresztą i tak nie mogła bym, zachorowałam i musiałam leżeć w łóżku, a matka mówiła, że histeria nikomu nie pomoże i że gdyby był ojciec, bardzo by go to zmartwiło. A jednak i tak czasem tu wracałam, choć na krótko.”-

Hanka, Bobek, Gienek i Angus szli jedną z alejek cmentarnych, w mocno zarośniętej drzewami i krzakami, starej części cmentarza. Dużą jego część, od dawna nie używaną, zajmowały groby jeszcze z 19 wieku, przeważnie okazałe, murowane, duże i często zaniedbane. Obchodzili kolejno różne krzyżujące się dróżki i przejścia, tak jakby wybrali to ustronne miejsce na rozmowę. Co tu robili?

Otóż Bogdan Sójka i Hanka Zbiżyńska mieszkali po sąsiedzku, daleko od gimnazjum, przy ul. Ogrodowej. Szło się do końca ul. Pierackiego i jeszcze dalej prosto, około czterech km, właściwie to peryferie Ostrowca. Angus korzystał z każdej okazji, żeby odprowadzać ich część drogi, albo do końca, a Gienek Forlański zwykle szedł kawałek razem i potem skręcał do domu, mieszkał przy ul. Wspólnej. Angus i Gienek mieszkali w wynajętych mieszkaniach w cudzych domach, natomiast Bogdan w drewnianym domu z ganeczkiem, trzy pokoje i kuchnia, położonym w dużym i mocno

zarośniętym ogrodzie na samym rogu ul. Ogrodowej. Zaś Hanka w dużej willi naprzeciwko, z dala widać było dwa wysokie świerki srebrzyste. Do parceli na której stała willa przylegał duży, ogrodzony siatką teren, gdzie mieściły się zakłady mechaniczne. Obecnie właściciele nie mieli tam prawa wstępu, ale z tyłu znajdowały się nieużywane przybudówki i jak się znało teren, to można było się tam niepostrzeżenie przedostać. Gdy zastanawiali się, co zrobić z materiałami wybuchowymi, z początku padła taka propozycja, żeby się tam rozejrzeć, raczej na terenie ogrodu Bogdana, ale lepiej obejrzeć wszystkie możliwości, wybrać miejsce na najlepiej ukryty i zabezpieczony schowek.

Otóż blisko, już przy końcu miejskiej zabudowy, znajdował się miejski cmentarz, a nie daleko niego, na pagórku, kirkut, który Niemcy zburzyli. Jeszcze w ostatnich miesiącach wysadzali w powietrze groby i nawet okalający je ceglany mur. Właściwie działanie bez sensu i po prostu dziwne, dlaczego tak się starali zatrzeć ślady po Żydach, gdy przecież mieli kłopoty na froncie i te Demol-kommando, czy może nazywało się jakoś podobnie, bardziej przydałoby się gdzie indziej.

W czasie, gdy jeszcze istniało getto, oba cmentarze stały się ważnymi punktami przerzutowymi na trasie zaopatrzenia, zarówno pomocy, organizowanej przez polskie podziemie, jak i płatnego szmuglu artykułów żywnościowych. Zwykle ładunki transportowano najpierw na polski cmentarz i potem nocą przenoszono na umówione miejsca na kirkucie. Ten nie był specjalnie strzeżony, bo choć blisko, leżał poza ogrodzeniem getta. Żydzi mogli tam chodzić tylko podczas pogrzebów, pod strażą. Przy tej okazji znajdowali zwykle jakiś sposób, żeby podjąć przesyłki. Zresztą nie tylko cmentarz służył do tego celu, w każdym razie w zakresie działalności prywatnej. Także niektóre okoliczne domy należały do szmuglerów, którzy wybierali raczej drogę bezpośrednio na kirkut. To było zajęcie, na którym nieźle zarabiali, ale mogli też zarobić kulę, gdyż za jakąkolwiek pomoc Żydom nie było innej kary, jak tylko śmierć. Inni pobliscy mieszkańcy wiedzieli o tym co się działo, ale oczywiście starali się odwrócić oczy, gdy po ciemku i z reguły po godzinie policyjnej pojawiały się tajemnicze cienie.

- „Pewnego razu, po likwidacji getta, w 1943 roku na wiosnę, były już liście, na tym cmentarzu jak z pod ziemi wynurzyło się trzech młodych ludzi. Zauważyli mnie, mówili, że są partyzantami i że nie mogę o tym spotkaniu nikomu mówić. Mówili też, że nocują czasem w jednym z grobów i nawet namawiali mnie, żebym zobaczyła jak to wygląda, pokażą mi wszystko. Ja udałam, że się zgadzam, a w odpowiednim momencie

ucieklam, zdazyłam dobiec do ulicy i jakoś nikt mnie nie gonił.”- Angus słuchając tego pomyślał najpierw, że on by z samej ciekawości chciał zobaczyć, jak wyglądała taka kryjówka, po co ta ucieczka. Dopiero po chwili dotarło do niego, że tak, ale nie jest przecież dziewczyną, one muszą być ostrożniejsze. Lecz nadal uważał, że to była przesada.

Jednak im dłużej chodzili po cmentarzu, tym bardziej Hanka nie była w stanie wskazać miejsca, gdzie to było, ani konkretnego grobu. - „Po prostu nie mogę się zorientować, teraz nie ma liści i tylko sterczą zarośla, to wszystko inaczej wygląda. Czasem mi się zdaje, że to tu albo tam, a potem nie jestem pewna.”- Nie mogli również zauważyć żadnego grobu, który wyglądałby na używany do dodatkowych celów, ale to oczywiste: jeżeli stanowił kryjówkę, to użytkownicy musieli się postarać, żeby się nie rzucał w oczy. A poza tym, od likwidacji getta minęły już lata i dawny szlak przerzutów od dawna przestała funkcjonować.

Ale myśl była dobra. - Jeżeli nie możemy znaleźć żadnej starej kryjówki, spróbujmy tu wybrać coś odpowiedniego,- zaproponował Sójka. Tego dnia jeszcze nic nie zdecydowali, wybierali długo i starannie, bo to była nadzwyczaj poważna i trudna decyzja, nie mówiąc już o niebezpieczeństwie. Po przemyśleniu, na drugi dzień Angus był pewien, że to najlepsze rozwiązanie. W takim starym, zapomnianym już grobie, materiały wybuchowe mogą leżeć bezpiecznie do chwili gdy zacznie się nowa "wojna powszechna o wolność narodów", czyli III Wojna Światowa. Im bardziej przyglądał się okupantom i nowym porządkom, tym wyraźniejsze się stawało, że nie mają oni zamiaru odejść, ani też poprzestać na tym, co już osiągnęli. Oceniał, że bez wojny się nie obejdzie, ale dojdzie do niej dopiero po pokonaniu Niemiec.

Przypuszczalnie, alianci wkrótce potem zdadzą sobie sprawę że oni i cały świat nadal znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wyciągną doświadczenie z historii. Np. jak rozwinęła się agresja Hitlera i zdecydują się na wojnę prewencyjną z jego dawnym współnikiem, która teraz mogła by być szybka i łatwa. Jeżeli tego nie zrobią, to zapewne Stalin wybierze odpowiedni moment i rzuci im się do gardeł gdy tylko skończy przygotowania, dokładnie tak, jak chciał to zrobić ze swoim wówczas najlepszym przyjacielem, Hitlerem. Stalin na pewno nie spocznie, póki nie opanuje świata. Polska będzie kontynuować walkę po stronie aliantów. Prawdopodobnie jedyna w Europie, bo Francuzi raczej pobiją się między sobą, o ile w ogóle wpływy komunistów tam nie przeważą. Co do Niemiec, być może, alianci utworzą armię pomocniczą, lecz będą musieli uważać.

A kiedy znów rozpocznie się walka, te materiały wybuchowe staną się po prostu bezcenne. W starym grobowcu, mogą bezpiecznie leżeć miesiące, ba, nawet lata. Jedno z ich czworga na pewno przeżyje do chwili, kiedy będzie można przekazać je polskim partyzantom lub powstańcom. Nawet gdyby nic więcej się im udało, już to jedno jest warte życia.

Następnego dnia z pełną energią zabrali się ponownie do poszukiwań i ostatecznie wybrali trzy możliwości. Kierowali się wielkością, to powinien być duży grób rodzinny, coś w rodzaju murowanej piwnicy, oczywiście stary



To oczywiście inny, podobny grób, nie mogę znaleźć tamtego.

zaniedbany, taki, który ostatni raz był używany przed kilkudziesięciu laty i do którego nikt nie przychodzi. Znaleźli dwa, zamknięte mocno porzewiałymi kłódkami oraz jeden całkiem bez kłódki, a tylko zastawiony ciężkim kamieniem. Kłódki po prostu przecięli i zamienili na nowe, które Angus sztucznie postarzał za pomocą kwasu na zewnątrz, natomiast w środku posmarował je, właściwie wręcz wypełnił smarem. Jeden z tych grobów zdradzał ślady czyjejs obecności, zapewne dawno temu, ale woleli z niego nie korzystać. Drugi zawierał osiem trumien, po cztery z lewej i prawej strony ustawione po dwie jedna na drugiej, z wąskim przejściem w środku. Drewniane trumny zachowały się nadspodziewanie dobrze, natomiast w środku było już tylko trochę zetlałych szczątków i kości. Zawartość dwu trumien złożono do jednej z nich, tak, że wolne były te dolne, a zajęte górne. To była najgorsza część przygotowań, mieli opory przed naruszaniem spokoju zmarłym, ale cóż, konieczność. Zapewne to, że modlili się za nich i nawet zamówili potem anonimowo mszę za ich dusze, brzmi trochę, jak starożytni łowcy, przepraszający zwierzynę za zakłócenie

spokoju. Cóż, w czasie wojny zdarzało się, że cmentarze i groby ulegały zniszczeniu. To nie była łatwa ani pochopna decyzja, lecz wyższa konieczność. Jeżeli istniały dusze tych ludzi i widziały to, zapewne zrozumiały, że stało się tak dla Wielkiej Sprawy i wybaczyły. Jeżeli nie, to przy całym szacunku dla zmarłych, jednak ważniejsi są ci, co jeszcze żyją.

Sprawa wymagała jeszcze wiele pracy. Trzeba było przerzucić ponad 400 kg. TNT, nie licząc min talerzowych, w sumie ponad pół tony ładunku przy zachowaniu pełnej tajemnicy i bez zwrócenia na siebie uwagi. Nosili to najpierw po kilkanaście kg w dwu torbach, Niosły je na zmianę dwie osoby, to znaczy jedna niosła, a druga pozorowała w tym czasie ożywioną rozmowę, faktycznie zaś, na niej spoczywał obowiązek rozglądania się. Bagaż przenoszono najpierw z mieszkania Angusa, który przygotowywał torby w komórce za domem, do ogrodu Sójków, z początku do starej altanki lub może szopki na narzędzia z tyłu za domem.

Następnie wygodniejsze okazało się miejsce na froncie ogrodu, w gąszczu rosnących tam krzaków porzeczek. Przykryte kawałem papy torby były prawie niewidoczne, a w ten sposób unikało się długiego kręcenia się po posesji z bagażem, co mogłoby w końcu wzbudzić zainteresowanie matki Bogdana. Oczywiście, była ona osobą absolutnie zaufaną, ale po blisko sześciu latach okupacji, wpojone były podstawowe zasady zachowania. Pierwszą z nich było, że nie powiadamia się najbardziej zaufanych osób o sprawach, których nie muszą wiedzieć. Ona przywykła już, że syn robił różne rzeczy o których nie mówił. Także i matka Angusa niczego się domyślała, oczywiście nie licząc wspomnianych, niemieckich granatów, które jednak dawno zniknęły z domu i do których więcej nie wracali.

Ostatnia faza, przeniesienie toreb z tymczasowego miejsca w ogrodzie Sójków na pobliski cmentarz i schowanie do grobowca, odbywała się zwykle po zmroku. Ponieważ okazało się, że cztery trumny nie zmieszczą jednak wszystkiego, ostatecznie ustawiono z kostek trotylu jakby nowy mur przy jednej ścianie, który następnie miał zostać lekko pociągnięty farbą w podobnym kolorze. Miny talerzowe zapakowano do jednej z trumien, do pozostałych trotyl.

Marzec i kwiecień 1945. stanowiły najlepsze miesiące w całym życiu Angusa. To wszystko, do czego dotąd dążył z całych sił, ale aż dotąd się nie udawało, teraz wreszcie osiągnął. Żył intensywnie jak nigdy dotąd, w nieustannym wysiłku, ale, jak się to obecnie mówi, pełnił życia, (albo na kilku etatach). Wykonywał pracę paru ludzi, mało miał czasu na sen i jadał też mizernie, a nie czuł wysiłku. W porównaniu z partyzantką i tak

komfortowe warunki. Czuł się na fali, chodził z głową w chmurach i wszystko mu się udawało. Nieprawdopodobne, ale nawet rzecz, której próbował całą wojnę i nigdy nie zdołał zrobić, jazda na rowerze, też nagle okazała się możliwa, bez widocznej racji. Jak wiadomo, Angus i Mateusz znaleźli się w innych klasach, ale nadal się przyjaźnili. Lecz przy bardzo intensywnym zaangażowaniu, Angus miał coraz mniej czasu, a do domu Jarugów było jednak dość daleko, droga w obie strony zabierała dobre półtora godziny. Z powodu pośpiechu, Angus pewnego dnia wsiadł na rower Mateusza - i niespodziewanie pojechał, bez żadnych problemów. To może budzić uśmiech politowania, wielka mi rzecz. Pamiętajmy jednak, że dotąd rower był dla Angusa równie niedostępny, jak, powiedzmy, latający dywan i powoli, pogodził się z tym. Kontuzjowany w 1939 r. błędnik w końcu się podleczył i zaczął funkcjonować. Angus odczuł to tak, jakby nagle znikła jeszcze jedna z barier, ograniczających jego możliwości.

Kto wie czy okres, dowartościowania i powodzenia nie wpłynęły na szybszą rekonwalescencję, Zaburzenia równowagi i defekt błędnika jeszcze potem dawały się odczuć, zwykle gdy okres niepowodzeń pociągał depresję. Nie oznacza to, że Angus zaczął nagle jeździć na rowerze. Jak zwykle u początkujących, przyciągały go drzewa, płoty, a zwłaszcza ogrodzenia z drutu kolczastego. Poza tym nie zbyt dobrze dawał sobie radę z wjazdem pod górę, a ze zjazdem na dół było jeszcze gorzej i po paru wyłożeniach się na dużej szybkości, zjeżdżał i hamował z nadmierną ostrożnością (a trzeba pamiętać, że droga między mieszkaniem Angusa i domem Jarugów, to były dwa strome podjazdy i zjazdy). Mateusz z początku próbował mu pomagać, holując jeden rower za drugim przy pomocy długiego sznurka, który jednak zrywał się zwykle po paru szarpnięciach. Jednak Angus robił szybkie postępy i już po kilku dniach jeździł przeciętnie, tak jak większość jego kolegów i koleżanek. Nie trzeba powtarzać, że w niewielkim mieście bez komunikacji publicznej, rowery stanowiły podstawowy środek lokomocji, zwłaszcza dla młodzieży. Większość uczniów, w każdym razie mieszkających dalej, przyjeżdżała do gimnazjum rowerem. To też po lekcjach, gdy szli rozmawiając w czwórkę - a czasami w większym gronie, Angus i Gierek, mieszkający stosunkowo blisko, szli pieszo, reszta prowadziła rowery. Przechodzili przez Błonia, po czym Forlański żegnał się i skręcał na Wspólną, Angus też się żegnał i zawracał, a Hanka i Bogdan wsiadali na rowery i odjeżdżali. Jeżeli zaś Angus szedł dalej do Bogdana (choć chodziło mu oczywiście o odprowadzenie Hanki), to całą drogę prowadzili rowery.

Kiedy zaczęli przenosić trotyl, z początku robili to dwójkami w opisany uprzednio sposób. Okazało się jednak, że rowery pozwalają znacznie przyspieszyć transport i właśnie wtedy Angus nauczył się jeździć. Zwykle on nie woził ładunku, a tylko jechał jako osoba towarzysząca. Dzięki rowerom, uwinęli się szybciej niż pierwotnie planowali, gdzieś w początku kwietnia.

- „Proponuję, żeby ta sprawa nie miała żadnej łączności z utworzoną przez nas tajną organizacją”, - Angus miał czas przemyśleć sobie wszystko. Nabrał zaufania do siebie i swoich planów, aż za dużo. Uważał, że jeżeli ma czas zastanowić się, a najlepiej przespać, to na ogół jego decyzje są prawidłowe. Jednak świadomy był, że w razie konieczności szybkiej decyzji i zwłaszcza zaskoczenia, postępuje często nieracjonalnie. W tym wypadku uważał, że chociaż bez pomocy koleżeństwa, sam nie zdołałby na pewno tak dobrze urzeczywistnić planów, w końcu to on zdobył te materiały wybuchowe i na nim spoczywa odpowiedzialność. Poza tym, zakładał, że to on najlepiej zorientowany jest w ogólnej sytuacji, choćby dla tego, że jak nikt inny, przez długi czas miał dostęp do całej prasy podziemnej i czerpał z niej mnóstwo szczegółowych informacji.

- „Zrobiliśmy to tylko we czworo, do końca nikogo nie wtajemniczając i niech tak zostanie. Proponuję, żebyśmy teraz całkowicie o wszystkim zapomnieli. Nawet gdybyśmy w jakiś sposób wpadli, zostali aresztowani, to tutaj nic się nie zdarzyło, o tej jednej rzeczy nigdy nie wspomnimy. Dopiero kiedy rozpocznie się powstanie, albo walka o wolność, prześlemy depozyt Armii Krajowej, Polskiemu Wojsku, albo, jakkolwiek się to będzie nazywać. Nie wiem, co się może wydarzyć, może nie będziemy się mogli spotkać i porozumieć, ale jedno z nas pewnie dożyje, nawet gdyby innym trafiło się coś złego. Ustalamy, że każde z nas ma prawo decydować samo, kierując się własnym sumieniem i uznaniem, kiedy nadejdzie właściwa chwila. Aż do tego czasu, pozostanie to wyłącznie naszą tajemnicą i nawet sami starajmy się wymazać ją z pamięci.”-

- „Czy składamy przysięgę?” - zapytał Forlański.

- „Nie, to nie ma sensu,” - odpowiedział Sójka. - „Podajmy sobie teraz ręce i od tej chwili nic nie pamiętamy. Nie ma co przysięgać, nic się zdarzyło.” -

Mała poprawka, bo jednak Bogdan i Hanka, jako mieszkający najbliżej, dostali po jednym kluczu od kłódki i mieli co jakiś czas spojrzeć, czy przy grobie nie dzieje się coś niezwykłego, albo na przykład nie pojawiła rodzina. Mieli to robić jak najrzadziej i przy okazji, tylko przechodząc w pobliżu. Właściwie, klucz miał symboliczne znaczenie, bo w razie potrzeby, kiedy

wybije godzina, równie dobrze będzie można obejść się i bez klucza, przecinając kłódkę tak jak zrobili na początku.

\* \* \*

### ***Kapsuła: Kiedy wybije godzina...***

*To typowo polskie określenie. Opis zdarzeń, może być niezrozumiały dla czytelnika, nie będącego Polakiem, albo jeżeli nie zna on tradycji walki o odzyskanie wolności. Walki, która trwała, oczywiście z przerwami, około półtora wieku, wiele razy przegrywana i znów podejmowana na nowo; chociaż nigdy nie miała cech tak rozpaczliwych zmaganiań nie tylko o wolność, ale o przeżycie w sensie fizycznym jak w ostatniej wojnie i okupacji.*

*Otóż faktem jest, że tradycja i oczekiwanie na następną okazję, na kolejny zryw, przechowywała się w wielu rodzinach z ojca na syna i z dziada na wnuków. Jednym z symboli tej tradycji były zegary, stare, zwykle duże i wahadłowe, z napisem: "O kiedyż wybije godzina". W Wielkopolsce takie symboliczne zegary zachowały się, na przykład Angus sam widział taki w posiadaniu rodziny. Natomiast w dawnym zaborze rosyjskim takie i podobne symbole nie przetrwały. Powód prosty: dawne Prusy mimo gnębienia i przymusowego wynaradawiania polskiej ludności, jednak były państwem prawa i policja nie mogła niszczyć lub zakazywać posiadania pamiątek, choć domyślała się, o co chodzi. Natomiast w zaborze rosyjskim, jak Angus słyszał od rodziców, można było zostać aresztowanym i skazanym przez sąd policyjny nawet za założenie żałoby w rocznice tragicznych wydarzeń, za pójście w tym dniu do kościoła, a tym bardziej za przechowywanie takich pamiątek. Wprawdzie sądy przysięgłych funkcjonowały z zachowaniem prawa i przyzwoitości, ale to w głębi Rosji, natomiast w tzw. „Kraju Prywislanskim”, bardzo często panował stan wyjątkowy, a policja i administracja miały całkowicie wolną rękę. Pozostało powiedzenie: "kiedy wybije godzina", które stąd się wzięło i miało rozumiały sens.*

*Natomiast przechowywanie ukrytej broni, oprócz tych dawnych tradycji, zostało niedawno odnowione. Najpierw w roku 1939, kiedy pobite Wojsko Polskie wraz z cywilną ludnością ukrywało i zakopywało broń, która potem bardzo się przydała przy rozpoczęciu wojny partyzanckiej. A jeszcze raz, niedawno, po rozwiązaniu Armii Krajowej, też duża ilość, prawdopodobnie większa część broni trafiła do tajnych magazynów i różnych skrytek. W poprzednim rozdziale, jest zamieszczona relacja*

*żołnierza niemieckiego, który odkrył kryjówkę Angusa i Mateusza, lecz zamiast ich wydać, przychodził na szachy i pogawędki. Między innymi opowiedział im (o ile go dobrze zrozumieli), jak brał udział w ekspedycji, która znalazła taki ukryty magazyn broni.*

*Tak więc to, co się obecnie stało, było całkiem naturalne i oczywiste, zgodnie z tradycją. Po prostu typowe postępowanie.*

*Można jeszcze dodać, że w czasie kiedy Angus poszedł do partyzantki, niecały rok temu, pięć kg materiałów wybuchowych można było wymienić na karabin, a karabin ceniono mniej więcej tak, jak życie żołnierza. Potem, w trakcie walki, broni przybyło i nie mierzono jej już życiem ludzkim, a z drugiej strony brak materiałów wybuchowych stał się jeszcze dotkliwszy. A więc można przyjąć, że ten ukryty magazyn miał takie znaczenie, jak co najmniej 80 karabinów, albo życie wielu ludzi.*

\* \* \*

Na początku kwietnia, nadeszła od dawna oczekiwana wiadomość od ojca.

Pisał lakonicznie, że pracuje na swoim starym stanowisku, a Dyrekcja Kolejowa w Poznaniu stopniowo opanowuje chaos. Sytuacja na kolei jest na razie trudna, a ojciec ma pełne ręce roboty zarówno przed południem, jak po i często dyżury w nocy. Na szczęście Dyrekcja zorganizowała stołówkę i tam jada. Chociaż dostał dwa razy awans, zaraz po stawieniu się do pracy i potem jeszcze raz, a więc jest w tzw. piątej grupie, pensji praktycznie nie dostaje, a jeżeli, to i tak na nic by nie starczyło przy rynkowych cenach. Ratuje go stołówka i to, że produkty żywnościowe wydawane są czasem w naturze. Udało mu się odzyskać dawne mieszkanie, które szczęśliwie ocalało w czasie działań wojennych. Sąsiedni blok, obok którego mieszkali i gdzie zamieszkiwał stróż domu, Ratajczak, został zburzony aż do fundamentów przez dużą bombę lotniczą. Obecnie obok, powstał spory trawnik, ale sklepik żywnościowy na samym rogu naszego bloku ocalał i funkcjonuje, to znaczy czasem można tam coś kupić, jeżeli kogoś na to stać. Mieszkanie jest zrujnowane, ze ścian zwisają strzępy tapet a o parkiecie lepiej nie mówić, okna mają część szyb, resztę prowizorycznie pozastłaniał. Wszystko kompletnie puste, to znaczy nie ma żadnych mebli, ale za to są roje pluskiew, z którymi nie sposób sobie poradzić.

Udało mu się zdobyć jedno łóżko, stół i parę krzesel, więc meble trzeba będzie sprowadzić z Ostrowca. Ma nadzieje, że uda się załatwić wagon albo

choć pół na transport rzeczy, już mu to obiecano, ale sprawa jest trudna i trzeba jeszcze poczekać. Niech przygotowują się do wyjazdu, kiedy tylko w Ostrowcu znajdzie się jakiś wagon jadący w tą stronę, do Poznania, ktoś ich powiadomi.

- „Mamo, ja pomogę ci tutaj ze wszystkim i załaduję do wagonu, ale sam chciałbym tu zostać do ukończenia tej klasy. Zawsze mówiłaś, że nauka jest najważniejsza, a tu mi dobrze idzie, parę miesięcy dam sobie radę sam.” - Oczywiście obłuda, ale argumenty, że spełnia ważną misję w tajnej organizacji i na dodatek ma tu dziewczynę, pewnie by matce nie trafiły do przekonania. A właściwie nie kłamał, nie powiedział tylko wszystkiego. Wyglądało, że matka to chyba kupiła, szczęście go nie opuszczało!

Przy tak dobrej passie, Angus postanowił pomówić z dziewczyną. Był na fali i czuł, że nie może mu się nie powieść, jednak powodzenie było ograniczone. Hanka zaakceptowała go jako przyjaciela, zresztą to faktycznie nastąpiło już wcześniej, ale nie chciała chwilowo słyszeć o miłości. Zaproponowała, żeby na razie traktował ją jak siostrę, dla niego dość szokujące skojarzenie, bo już raz to słyszał i jedną starszą siostrę już zyskał. Wtedy tak być musiało, ale raz to dosyć. Naturalnie, nie mógł o tym wspomnieć, nigdy i nikomu.

Hanka nie pozwoliła się też pocałować, jedynie w policzek, pewnego rodzaju nagroda pocieszenia. Jednak wiele satysfakcji sprawiło mu, gdy poprosiła, żeby przestał palić. Uczniom liceum wolno już było palić, byle nie w budynku szkolnym i palenie stało się dość powszechne, jako swojego rodzaju dowód dorosłości. Angus palił już od dawna, teraz zaczął kopcić jak lokomotywa, robiąc własnoręcznie skręty z tytoniu i bibułki. Jednak wiedział, jak się zachować: wyciągnął z kieszeni bakelitowe pudełko z surowcami oraz zapalniczkę i demonstracyjnie je wyrzucił. Nie pomyślał, że może smród tytoniu i żółte palce mogły być odpychające, raczej odebrał to albo jako troskę o siebie, albo może chęć dziewczyny do zmieniania go na lepsze. Obie ewentualności rokowały dobrze.

Nawiasem mówiąc, nie spodziewał się, że ta deklaracja sprawi aż tyle trudności, przez najbliższe tygodnie, brak papierosa szalenie dokuczał. Nie bez przerwy, ale nachodziły takie chwile, że wprost trudno było wytrzymać. Na przykład rano, zaraz po obudzeniu się. Ale cóż, słowo się rzekło.

Szczerze, był całkowicie zadowolony z tego, co osiągnął, Dokładnie to, co zamierzał, status rycerza przy damie. Miał prawo ją uwielbiać, towarzyszyć i oddawać drobne usługi. Mówiąc bardziej nowoczesnym

językiem, został zaakceptowany jako stały chłopiec do chodzenia. O współżyciu seksualnym nawet nie myślał, to nie była dziewczyna tego rodzaju, co więcej od początku postanowił odnosić się z pełną czcią i nawet nie pozwalał sobie na konkretne marzenia. Jedyne, co chętnie by uzyskał, to prawdziwy pocałunek, ale przecież jeżeli zdecydował się na wielką miłość, to znaczy, zarówno w wypadku, jeżeli zyska wzajemność, jak i nie. Należało poczekać.

Z początku była to miłość wydumana, ale stopniowo zaczął odczuwać emocje. Perspektywa spotkania przyprawiała go o wzruszenie z typowymi reakcjami, biciem serca, wydzielaniem adrenaliny etc. Dla samego widoku i rozmowy, gotów był pędzić na drugi koniec miasta, albo czekać godzinami. Praktycznie, nic więcej się nie zdarzyło, tylko czasem trzymali się za ręce, a niekiedy mógł pocałować ją w policzek. Jednak coś go trochę niepokoiło: otóż choć dotyk ręki wywoływał z początku wzruszenie i satysfakcję, jednak po pewnym czasie trzymanie ręki stawało się uciążliwe. Pod takim lub innym pretekstem rozłączał dłonie z ulgą. Nigdy nie doznał tego przepływu jakiegoś tajemniczego prądu czy fluidu, poczucia bliskiego kontaktu, jedności i zespolenia. Pamiętał, że przedtem dotyk ukochanej kobiety działał dosłownie jak dotknięcie przewodu elektrycznego pod napięciem. No, może nie całkiem tak, w każdym razie od dreszczu aż do potężnego szoku. Tutaj odczuwał miłą, gładką skórę i trochę ciepła i to wszystko. Odróżniał przyjaźń i kontakt dusz, od miłości zmysłowej, a na razie ma prawo tylko do przyjaźni, na pełną miłość zaczeka. Poza tym, łapał każdą chwilę, a tych chwil nie było dużo, wciąż brak czasu i wciąż na wysokich obrotach. Nawet w szachy przestał grywać.

Do organizacji przyjęli następną czwórkę i potem po jednym, wyjątkowo paru członków z innych klas, na razie nie mieli zamiaru bardziej rozwijać działalności. Raczej pozostać do czasu w formie kadrowej i dobrze zakonspirowanej. Natomiast szybko rozwinęły się kółka samopomocowe, z mocnym akcentem patriotycznym. Miały ułatwić rekrutację w przyszłości, gdy nadejdzie pora na przejście do działalności masowej. Odpowiednia chwila nigdy nie nadeszła, ale też organizacja nigdy nie wpadła, jej członkowie nie trafili do więzień.

Kółka samopomocowe objęły obie klasy I licealne i większą część czwartych gimnazjalnych. natomiast jakoś nie przyjęły się w II lic., być może ci uczniowie już nie czuli się uczniami. Byli na wylocie, myślami na studiach. Co do młodszych klas, to na razie terra incognita i trzeba się było dopiero zorientować. Pewną miarą wpływu kółek stanowi fakt, że w

powołanych w tym czasie samorządach klasowych, wszędzie przeszli kandydaci, upatrzeni przez organizację.

Wracając do spraw konspiracji, w kwietniu zaczął się impas rozwoju. Kadra już istniała, natomiast na podjęcie czynnej walki wciąż było za wcześnie. Trzeba zdecydować, co dalej, na ruch masowy przechodzi się dopiero, kiedy po stworzenia struktur można przejść do konkretnego działania. Z drugiej strony bezczynność demoralizuje każdą tajną organizację, podobnie jak stojącą armię (wspomniano przykład bezczynnie stojącej armii francuskiej w 1939/40).

W tym położeniu, Bogdan Sójka (w okularach) znalazł rozwiązanie,



delegując siebie oraz kilku innych członków do odbudowy ruchu harcerskiego. Z jednej strony, było to jakby rozszerzenie kółek samokształceniowych na młodsze roczniki i nieobjęte dotychczas młodsze klasy. Ale wkrótce okazało się, że zakres i pole działania jest znacznie szersze, po prostu była to pusta dotąd nisza. Odtwarzanie harcerstwa nabrało zupełnie nieprzewidzianych rozmiarów, stało się ruchem masowym. Niestety, z pierwotnej czwórki tylko on jeden się do tego nadawał i rzeczywiście, dokonał fantastycznych rzeczy. Ani Angus ani Gienek nie byli przed wojną harcerzami, nie mieli doświadczenia, ani stażu, nie mogli być

przydatni, musieli by zaczynać od zera, Hanka także. Mogli tylko z zazdrością patrzeć, jak grupka zapaleńców z Bobkiem na czele, w krótkim czasie sformowała na nowo Hufiec Ostrowiecki, dosłownie setki członków. Zresztą, zapewne nie byliby zdolni do takiego wysiłku, nie wystarczyłoby im energii. To, co wspomniano wcześniej o mobilizacji i wysiłku Angusa, to małe piwo. Bogdan i inni starsi harcerze z organizacji (zwłaszcza Felsenstein) dokonali cudów. Trzeba pamiętać, że brak było starych, doświadczonych działaczy i dawnej kadry harcerskiej. Ci, którzy nie wyginęli w czasie wojny (na przykład w wspomnianym Oddziale Dywersyjnym, większość to byli właśnie harcerze, starsza kadra), nie mogli obecnie działać. Zaangażowani czynnie w ruchu oporu, automatycznie stali się wysoce podejrzeni dla reżimu. Nie wracali, aby nie zaszkodzić idei i ruchowi harcerskiemu.

Być może, była w tym pewna reguła: gdy jakąś organizacja nie może się rozwijać, rozmnaża się przez pączkowanie i jeżeli nowy pęd napotka odpowiednie podłoże, przerasta poprzednią, nawet wielokrotnie. Podobnie jak w Wielkopolsce na początku wieku, z Sokoła przez Iskrę, Ogniwo, Brzask i inne przybudówki dla młodzieży, wyrósł masowy ruch skautowy. Normalna ewolucja i rozwój idei.

\* \* \*

W tym czasie zaszły dwa szokujące zdarzenia. Jedno, to rozplakatowana odezwa do żołnierzy Armii Krajowej, wzywająca ich do ujawniania się, zdawania broni i obiecująca w zamian amnestię. Mieli zgłaszać się do najbliższej jednostki MO lub UB., ale oczywiście, że kompetentne jest UB. Amnestię stosuje się dla przestępców, czy mogła dotyczyć tych, którzy poświęcali życie i mienie dla kraju? Tą odezwę można by zignorować, gdyby nie była podpisana przez Radosława. Legendarny dowódca okręgu AK i faktycznie Powstania Warszawskiego nie mógł być kapitulantom, czy zdrajcą. Z początku podejrzewano, że podpis Radosława na tych plakatach jest oszustwem. Jednak napłynęły informacje, świadczące, że to nie prowokacja lecz prawda. Dla wielu szok i tragedia, nie aż taka, jak kapitulacja Francji w 1940, ale równie niepojęta. Trudno uwierzyć że tak wielki autorytet wziął na siebie odpowiedzialność. Teraz wiadomo, że była to odpowiedzialność dowódcy, podjęta dla ocalenie życia swoim żołnierzom. Próba, której zapewne sami by nie podjęli lecz raczej zginęli, w każdym razie wielu z nich. Krajowe Siły Zbrojne usiłowały przetrwać, a to oznaczało ograniczenie do ścisłej kadry i powrót do ścisłej

konspiracji. Nie było szans na trzymanie w konspiracji pół miliona ludzi. Konieczne było masowe zwolnienie zwykłych członków, trzeba stworzyć im szansę przeżycia. Część bardziej znanych dowódców, Radosław i inni i tak nie mogli kontynuować swojej roli, prowadzić dalszej działalności, byli zdekonspirowani. Dlatego członkowie dotychczasowej Kwatery Głównej wzięli na siebie fatalny obowiązek i odium, a w pracy zmienili ich inni. I tak nie zdołali zapobiec wszystkim tragediom. Przesiąkały już wiadomości, że więzienie kieleckie o szczególnie złej sławie (nie ono jedno, ale w tym okręgu najgorsze) pełne jest żołnierzy AK. Kapitulacja i ujawnienie się, haniebna amnestia też nie dała gwarancji przeżycia i nie powstrzymała UB, ale przynajmniej tworzyła jakąś postawę prawną obrony dla zaciekle, choć na szczęście dość nieudolnie tropionych ofiar.



Mimo wszystko trudno to wyjaśnić młodzieży, którą tylko ogromny autorytet moralny Radosława powstrzymywał od głośnego rzucenia oskarżeń - i która dopiero na własnej skórze musiała poznać bezmiar klęski i katastrofy. Tu doszła druga sprawa, która w połączeniu z tą pierwszą, wywołała straszne wrażenie. Obok ukazały się afisze, w najbrudniejszych słowach szlakujące AK, wyszydające i zohydzające jej żołnierzy. Zaczęły się od znanego: "AK, zapłuty karzeł reakcji - " i pełne były podobnych epitetów, wyzwisk i oskarżeń. Zbyt paskudne, żeby wspominać. Kampania zohydzenia najszlachetniejszej tradycji walki z najeźdźcą i ideałów patriotycznych i ludzi, którzy starali się wypełnić swój obowiązek obywatelski i żołnierski. Nawet Niemcy nie używali tak brudnego słownika, ograniczając się do nazywania żołnierzy i partyzantów polskich bandytami. Dopóki te brudne plakaty wisiały same, były traktowane podobnie, jak kiedyś plakaty niemieckie, z pogardą. Ale kiedy obok ukazały się odezwy z podpisem Radosława, wrażenie było wstrząsające. Wyglądało tak, jakby przyznawał im rację. Plakaty nigdy nie wisiały długo, najdalej do zmierzchu. Potem je zdzierano, a wraz z nimi odezwy Radosława też, trudno było po ciemku je rozróżnić. Jednak afisze, zerwane wieczorem, pojawiały się znowu rano, mury wprost tapetowano.

Założycielska czwórka rozważała, czy włączyć organizację szkolną do zrywania plakatów, wzorem małego sabotażu z 1939/40 r. Angus był

przeciw, argumentując, że zdzieranie plakatów stało się spontaniczne i powszechne bez żadnego kierowania. Lepiej jednocy społeczeństwo, gdy to robi z własnej potrzeby. Raz dając wyraz swoim uczuciom, deklaruje się na przyszłość sam przed sobą. Natomiast kierowana akcja nie zapewnia tego efektu, a ponadto w razie schwytania dzieciaka wysłanego w tym celu, mogłaby dekonspirować organizację. Przekonał koleżeństwo. Ale sam Angus, wbrew własnym słowom, nie potrafił się opanować i w chwili, gdy po raz pierwszy przeczytał to obrzydlistwo, natychmiast i nie czekając wieczoru, zerwał te i pobliskie plakaty, w obecności ludzi, którzy przyjęli to z aprobatą. W głupi sposób zwrócił na siebie uwagę, okazał się narwanym szczeniakiem, a nie dojrzałym mężczyzną, za jakiego chciał uchodzić. Potem też zrywał plakaty, ale po ciemku i bez świadków.

\* \* \*

Dzień 1 maja obchodzono z dużą pompą. Nic nowego, bo tradycyjnie 1 maja stanowił także przed wojną, Święto Pracy. Ale tym razem cała szkoła musiała udać się w pochodzie na wiec i tam sterczeć godzinami słuchając przemówień propagandowych na żalonym poziomie. Następnego dnia, szkoła poszła na film radziecki. Natomiast 3 maja, stanowił nadal święto, ale nie planowano żadnych uroczystości. Więc, uroczystą akademię postanowili organizować Harcerze.

W dniu 2 maja uczniowie zbierali się w gimnazjum i stamtąd przemaszerowali do kina na film radziecki. Ponieważ sala nie pomieściła by wszystkich, na pierwszy, ranny seans miały iść starsze klasy, a na następny młodsze. Właściwie, wrażenie z początku trochę dziwne, przez 6 lat do kina się nie chodziło. Angus był w tym czasie jeden raz, ale w konkretnym celu, chciał przejść drogą tragicznych wypadków koło Fabryki Słodczy Amor. Jakby pielgrzymka na stację drogi krzyżowej Oddziału Dywersyjnego.

Film miał być specjalną nagrodą dla Gimnazjum i Liceum Ostrowieckiego za obecność na wczorajszym wiecu, gest przyjazny i próba pozyskania na swoją stronę. Wczoraj stali na wiecu karnie i nieruchomo, ale przepelnieni obcością i niechęcią, zaciskali zęby. Zaś w drodze, w jedną i drugą stronę śpiewali wyłącznie pieśni partyzanckie, w tym oczywiście kilkakrotnie -"Hen z dala od naszej rodziny i bliskich, my AK żołnierze od Gór Świętokrzyskich..." Ta pieśń, "zapłutych kartów reakcji" stała się jakby hymnem, śpiewali ją przy każdej okazji. Teraz też.

Angus był ciekawy, zarówno kina jak i filmu radzieckiego, dotychczas

jeszcze żadnego nie widział, zwłaszcza tzw. "produkcyjniaków". "Świniarka i pastuch" to wyjątkowe „arcydzieło” tego gatunku Właściwie przez cały czas nie chciało się wierzyć, że film się już zaczął, aż do końca wyczekiwali, czy nastąpi wreszcie jakaś akcja. Nic z tych rzeczy. Przez cały czas przedstawiano szczęśliwe życie świń i baranów w ustroju radzieckim, bez żadnej przenośni. I jak one odwdzięczają się za ten zaszczyt, starając się dostarczyć maksymalną ilość mięsa i skór na kozuszki. Ludzie też tam byli. Ci dobrzy dbali o trzodę i starali się ją dostarczyć do rzeźni we wzorowym stanie, ci źli przeszkadzali w uboju i nie dbali o wagę. Świniarka i pastuch zaczęli od ostrej rywalizacji o stachanowskie wyniki, oboje uzyskali najlepsze rezultaty w swojej kategorii i postanowili się ożenić dla utrzymania tradycji. Z kina, uczniowie wracali indywidualnie do domów, małymi grupkami. Pamiętali różne filmy, dobre i kiepskie, jednak tak prymitywnego nie, to się w głowie nie mieściło. Wielu jeszcze ciągle zastanawiało się, czy mógł w tym tkwić jakiś ukryty sens, może jakaś alegoria albo co. To jeszcze nie te czasy, kiedy nie tylko za krytykę, ale nawet brak zrozumienia przodującej sztuki radzieckiej, można się było narazić.

W drodze powrotnej, Angus zobaczył nagle ducha. Zostawił kolegów i podszedł bliżej, nie wierząc własnym oczom. Powiedział - „Stachu!” - Stojąca tam i patrząca w stronę fabryki Amor postać odwróciła się. Rzeczywiście, był to Stach Konar.

- „Bój się Boga, czy ty wiesz, że byłem na mszy za twoją duszę? Przecież wszyscy mówili, że nie żyjesz! Powiedz, co się z tobą działo.” - Angus odniósł wrażenie, że nie jest mile widziany i że Stach chciałby się go jak najszybciej pozbyć. Był tym nie tyle dotknięty co zdumiony, jak to, przecież to jego najlepszy były kolega i stary przyjaciel.

- „No to teraz widzisz, że to były nieprawdziwe wiadomości. Nie drzyj się tak i proszę cię, nie rozmawiaj o tym z nikim.” -

- „Dobrze, ale to i tak nie da się ukryć. Masz pojęcie jaka to sensacja. Wszyscy będą o tym mówić.” -

- „Właśnie wynoszę się z Ostrowca na dobre. Trzymaj się.” -

Angus jeszcze nie wiedział, że i on też. Doszedł do końca tej ulicy, gdzie prawie dwa lata temu, w czerwcu 1943 pożegnał, a teraz spotkał Konara, nieprawdopodobna historia! Gdy zbliżył się do domu Sójki, ten już z daleka zamachał na niego rękami i zaraz za furtką podał mu kartkę.

Pisała matka: - „Jędrusiu, nie wracaj, broń Boże do domu, tu na ciebie czekają, w mieszkaniu kocioł. Kiedy będę mogła, prześlę wiadomość,

tymczasem pilnuj się!" -

\* \* \*

Rano tego dnia, tak w godzinę po wyjściu Angusa, ktoś zaczął gwałtownie dobijać się do domu i zamkniętego sklepu. Matka, po otwarciu drzwi, sądziła, że trzech mężczyzn, jeden starszy z teczką i pozostali młodszy, to jakaś kolejna kontrola lub inspekcja i już na wstępie powiedziała: - „Panowie, niedawno już była jedna kontrola i od tej pory nic się nie zmieniło. Nie mamy żadnego towaru ani też nie mamy za co kupić, bo odchodzący żołnierze niemieccy wszystko nam zrabowali. Ślady jeszcze widać. Dlatego nie otwieram sklepu i nie będę go już prowadzić, po prostu nie jestem w stanie.” -

- „Tak, ale my to musimy zobaczyć i już sami sprawdzimy, - odpowiedział ten starszy, - proszę, obywatelko, wpuścić nas do środka.”- Więc matka cofnęła się i wszyscy przeszli, przez całe wnętrze, to znaczy korytarzyk. przy czym jeden otworzył drzwi do spiżarni i zajrzał także tam, przez kuchnię i pokój pośredni aż do sklepu, a tam ten mężczyzna powiedział: - „Nie, proszę nie otwierać ani okien ani drzwi, najpierw parę pytań. Gdzie jest wasz syn?” -

- „Co ma do tego mój syn? Przecież to ja jestem właścicielką i prowadziłam firmę. Mój syn nie jest pełnoletni, ma dopiero 16 lat i nie może występować ani w moim, ani jeszcze w swoim imieniu,” - matka jeszcze się nie zorientowała.

- „Wasz sklep nas nie obchodzi, a my przyszliśmy nie do, ale po syna obywatelki.”-

- „Jak to? Przecież to jeszcze dziecko!” - to było szczere przekonanie matki, bez względu na okoliczności, tak przedtem jak i potem, właściwie zawsze.

- „Ładne dziecko i ładnie żeście go wychowali. Teraz go obywatelka już prędko nie zobaczy. Jak dobrze pójdzie to ze trzy lata, ale może być pięć albo i więcej.” -

A jeden z milczących dotąd towarzyszy, roześmiał się i dodał: - „albo może odeślemy do domu tylko wysuszoną skórę, bo tak się dzieje teraz, z tymi w więzieniach, po prostu usychają, jak żaby na słońcu!” -

W każdym razie tak dosłownie powtarzała matka później tą rozmowę Angusowi.

W odróżnieniu od Angusa, matka nie szukała kłopotów i szczerze mówiąc, nie zajmowała się tzw. dobrem ogólnym, nic w tym kierunku nie robiła, całą wojnę. Nie wykorzystwała swych możliwości i doświadczenia, starając się przemilczeć ten temat. Dbała tylko o rodzinę, zwłaszcza o swego uwielbianego synka, starała się, żeby wszyscy przeżyli. Angus zarzucał jej brak zaangażowania i ducha patriotycznego, a ona nawet nie powiedziała, że swój udział wniosła, kiedy jego jeszcze nie było na świecie i raz w życiu wystarczy. Chyba miała jakieś negatywne doświadczenia z tego okresu, unikała podziemia, szkoda, mogła by być bardzo pożyteczna.

Ale teraz, a zwłaszcza gdy usłyszała groźby wobec swego jedynaka, to zupełnie zmieniło sprawę. Również i w tym była inna, że nie wdawała się w długie rozważania i analizy, zagrożenie i stres właśnie ją mobilizowały. Nie traciła zimnej krwi, lecz wtedy stawała się bardziej sprawna, taki instynkt. Teraz też pomyślała sobie, że to bardzo dobrze, że ci ludzie jej nie doceniają i w żadnym wypadku nie powinna wyprowadzać ich z błędu. Była już w trudniejszej sytuacji. Najpierw przeżyła rewolucję w Rosji i wydostała się z stamtąd. A potem przez pewien czas odbywała tajemnicze podróże do Niemiec, kiedy tam trwały walki wewnętrzne, a obie strony nie patyczkowały się ani ze sobą nawzajem, ani z osobami postronnymi, jeżeli padło najlżejsze podejrzenie, że pchają nos w nie swoje sprawy. Od tego czasu się postarzała, ale przecież i w tej wojnie potrafiła przebyć, w osobistych sprawach, z dziecinną łatwością w obie strony zamkniętą granicę w stylu, jakiego nie powstydziliby się doświadczony kurier.

- „Wy dwaj zostajecie z obywatelką i macie ją pilnować. Kiedy wróci syn, aresztujcie go, dopiero wtedy możecie ją zostawić. Ja pójdę teraz do miasta, a gdybym znalazł tego ptaszka, przyślę wiadomość.” -

Matka wydawała się porażona tymi słowami, jak piorunem. Błagała o darowanie Angusowi życia, zapewniając, że jeżeli cokolwiek zrobił, to widocznie nie zdawał sobie sprawy, bo to dobre dziecko. W ogóle plotła bzdury, a słowo "dziecko" powtarzało się nieustannie. Poza tym, biedna, zrozpaczona staruszka poczuła się chora i wykończona. Będzie musiała zaraz, niezwłocznie pójść do ubikacji, na nią szok i zdenerwowanie tak działa. Zamiar przekazania wiadomości do Angusa, tym razem się nie powiodł. Pozwolono jej wprawdzie pójść, ale w towarzystwie aniołów-stróżów, no, nie całkiem aniołów, którzy eskortowali ją z obu stron, a potem stanęli przy budyneczku nie pozwalając nikomu się zbliżyć i na koniec sprawdzili, czy niczego dodatkowo nie zostawiła. Miała wprawdzie nadzieję, że sąsiedzi, mieszkańcy posesji musieli coś zauważyć, ale to nie

było równoznaczne z ostrzeżeniem Angusa.

Wobec tego dostała szalonego bólu głowy, migreny, palpacji serca i bodaj tzw. waporów oraz paru innych cierpień, musiała koniecznie położyć się na chwilę i odpocząć w samotności. Nie było powodu, żeby dodatkowo pogarszać ten dość kłopotliwy stan, więc jeden z pilnujących usiadł w pokoiku obok, a drugi w korytarzyku przy bocznych drzwiach wejściowych. Pozostała sama, ale bacznie pilnowana z obu stron. Wtedy właśnie napisała kartkę i w dopisku do sąsiadki, poprosiła ją o przekazanie Angusowi, że jest uwięziona w własnej kuchni, a w mieszkaniu urządzono kocioł.

Jak wspomniano, całość pomieszczeń składała się od frontu z lokalu sklepowego, za nim mały pokój, dawniej zaplecze, obecnie mieszkał w nim Angus, następnie kuchnia, w której sypiała matka. Wejścia były dwa, od frontu do sklepu, teraz zamknięte i z zaryglowaną okiennicą oraz z boku do kuchni przez małą sionkę, do której przylegała spiżarka. W niej znajdowała się kłapa do piwnicy i tej nikt nie sprawdził, ale to nie miało w tym wypadku znaczenia.

Drogi wyjścia były dokładnie zablokowane. Ale dawniej, były też drzwi prowadzące z kuchni do dalszej części domu, w której mieszkała właścicielka. Wszystko w układzie amfiladowym, najpierw duży pokój gospodyni i jej córek, potem mniejszy jej dwóch synów, za nim kolejna kuchnia i oszklona weranda. Obecnie przejściowe drzwi do tej dalszej części mieszkania właścicieli zostały nie tylko zamknięte ale zabudowane na trwałe, jednak na dole wciąż jeszcze znajdowała się szpara. Przez tą szparę matka Angusa przesunęła kartkę. Następnie odzyskała siły i zaproponowała pilnującym jej strażnikom, że robi sobie i im gorącej herbaty, po to, żeby krzątając się i rozpalając ogień w piecu, ustawionym od strony mieszkania gospodyni, mieć okazję zapukać do jej pokoju i zwrócić jej uwagę. Widziała, jak drobny rożek papieru ledwie widoczny w szparze, zniknął, a więc kartka została wyjęta.

Nie mogła naturalnie przewidzieć, jak zareaguje sąsiadka. Ale miała rozsądną nadzieję, że sprawa wyjaśni się w najbliższym czasie. O ile w ciągu najbliższych kilkunastu minut ktoś nie przyniesie tej kartki, agenci nie dowiedzą się z niej, na jaki adres chciała ją wysłać i nie zaczną śmiać się jej w oczy, mówiąc; - Ach tak, więc obywatelka nie ma pojęcia, gdzie może być syn"-. Lub nie zabiorą jej wprost na przesłuchanie nic nie mówiąc i o ile Angus nie zjawi się w ciągu najbliższej godziny, przypuszczała, że w rozsądnym czasie może otrzymać ostrzeżenie, odtąd bezpośrednie zagrożenie zacznie maleć.

To też w miarę upływu czasu, nastrój jej się poprawił, ale wciąż dbała o to, żeby wyglądać jak kupka nieszczęścia. Pod wieczór, biedna pokrzywdzona przez los staruszka czuła się już pewna swego i zupełnie nie przejmowała ani dozorem niezbyt sympatycznego indywiduum, ani tym, że drugi drągał wyraźnie miał już dosyć czekania, a całkiem niedwuznacznie wyciągnął i położył przed sobą na stole broń, obok zegarka. Przez cały dzień więcej się nie odezwała, zresztą dozorczy nie pozwalali,. Jednak przed nocą, kiedy na krótko zajrzał ten trzeci, pewnie zwierzchnik, ponarzekła, że syn często nie wraca na noc. - „Czasem nie ma go po kilka dni, przez tą wojnę, takie dobre dziecko całkiem się zmarnowało”. -

Łapacze zamienili kilka zdań na boku i szef znowu wyszedł, a pozostali dwaj zostali. Dobrze im tak, marnują czas, Angus nigdy nie wracał późno, a więc już się dowiedział, że nie można się tu pokazać.

Kocioł został zdjęty wczesnym rankiem, o świcie. Oczywiście było, że jak zwykle w takich wypadkach, Milicja czy Służba Bezpieczeństwa, ci ludzie nie okazali żadnej legitymacji, nic prócz bezczelnego zachowania, zostawiła w pobliżu jakiegoś informatora. Ten otrzymał polecenie mieć dom na oku i niezwłocznie zawiadomić swych mocodawców, gdyby Angus się pokazał. A gdyby matka wyszła z domu, miałaby za sobą ogon i doprowadziła go o do Angusa. Należało najpierw siedzieć cicho na..., miejscu, a potem nie robić nic.

\* \* \*

Drugą, obszerniejszą wiadomość przywiózł następnego dnia Adam Szumilas. Wyjechał jak zwykle rowerem do pracy, nadal był laborantem w Zakładach, ale w mieście skręcił i trochę okólną drogą zawrócił na Ogrodową. Miał nadzieję, że spóźni się niewiele i bez większych problemów wyjaśni to defektem roweru, który odpowiednio "poprawi" prowadząc do bramy.

Matka pisała, że kocioł został już zdjęty, ale na pewno dom jest obserwowany, Jeżeli Angus się tu wybiera, to niech mocno puknie się w czoło. Przysłała mu ciepły sweter i tyle pieniędzy, ile miała przy sobie, około 300 zł. Niech Angus natychmiast jedzie do Poznania, do ojca. Nigdy by go nie wysyłała samego w taką drogę, ale jeżeli tu zostanie, to wcześniej czy później go dorwą. Wierzy, że da sobie radę i poleca go Bogu. A jak dojedzie, to niech da znać listem, a lepiej dwoma, bo poczta już działa i czasem dochodzi. Naturalnie nie na adres domowy, tylko do któregoś z kolegów, do którego ma zaufanie. Ona poczeka na ten wagon, który dzięki

ojcu, kolej ma zapewnić i przyjedzie jak to tylko będzie możliwe. Niech Angus się nie przejmuję, da sobie radę, bez niego nawet lepiej, niż z nim.

Mimo wszystko, Angus postanowił zostać jeszcze jeden dzień i pójść na uroczystość, organizowaną przez Harcerzy. Zdawał sobie sprawę, że to głupota i lekkomyślność. Postanowił trzymać się osobno i cały czas w tłumie, nie zwracać na siebie uwagi i nie wystawiać na widok, unikając pustej przestrzeni a także znajomych. Jednym słowem, jak się to mówiło gdy ktoś był na celowniku, utrzymywać niski profil. Tak zaraz nie mógł się zdecydować na ucieczkę. Po pierwsze, Bogdan Sójka wychodził ze skóry, żył przygotowaniami do tej akademii, zaraził tym innych, a poza tym Angus chciał zobaczyć kolegów i pożegnać się. Szczerze mówiąc chodziło mu głównie o dziewczynę. Ponieważ nie szedł w jej towarzystwie (ani niczym), więc zobaczyli się krótko przed obchodami i co za szczęście, obiecała poczekać, aż los pozwoli się im znów spotkać.

Było na co popatrzeć i posłuchać, Hufiec Ostrowiecki przeszedł sam siebie. Aż trudno uwierzyć, że zdołali zorganizować taki program. To też liczebność widzów, po prostu przyćmiła oficjalną i przymusową akademię 1 maja. Zjawiła się masa ludzi, poczynając od mszy polowej, potem część artystyczna, której szczytem był pierwszy występ tzw. później Słowika Ostrowieckiego, Angus nawet nie wyobrażał sobie, że można mieć aż tak czysty i silny głos, na otwartym powietrzu dźwięczał donośnie, później nigdy nie słyszał podobnego na żadnej operze. Ładna dziewczyna, śpiewała pieśni Moniuszki, na bis parę wojennych, patriotycznych. O ile z daleko Angus mógł dostrzec, chyba Bogdan był tym razem poważnie zaangażowany, jak nigdy dotąd.

Po zakończeniu uroczystości, większość została jeszcze, gdy odbył się apel Hufca. Dziwne, ale wydało mu się, że przypomina bliźniaczo ostatni taki apel przed rozwiązaniem oddziału, w lesie Iłżeckim. Oczywiście, figurek harcerzy było więcej, za to mniejsze. Tutaj Bogdan Sójka, w towarzystwie starszyny przechodził przed ustawionymi wzdłuż trzech boków prostokąta oddziałami, kolejno występowali drużynowi i wywoływali zastępowych, którzy meldowali zastępy. Wszystko z pompą, uroczyście i długo jak pogrzeb. Dokładnie tak, jak na pogrzebie AK, w którym brał niedawno udział. Zrobiło mu się zimno i jakby ciemniej, poczuł dreszcz i nawymyślał sobie od starej baby. Ma już przecucia, jak tak dalej pójdzie to wkrótce i sny, które się sprawdzają. A przecież z kilkuset Harcerzy, co najmniej pięćdziesięciu do sześćdziesięciu miało trafić do obozu w Jaworznie. Nie zaraz, za kilka lat, gdy władza komunistyczna się wzmocniła i zabrała się

także za Harcerstwo. Wprawdzie rok do dwu "reedukacji socjalistycznej" w obozie to nie to, co lata w więzieniach, co spotykało tysiące uczniów w razie wykrycia tajnej organizacji w szkołach. Ale i tak, jeżeli nie prawdziwe piekło, to w każdym razie co najmniej piekiełko.

Angus nie chciał dłużej narażać Sójków, nocując w ich domu. Zresztą tego dnia, z Bogdanem i tak nie sposób było pogadać, a w domu był istny młyn, co chwilę ktoś wchodził i wychodził, a inni czekali z pilnymi sprawami. Więc gdy tylko zrobiło się szaro, ruszył okólną drogą ul Wspólna, miedzami do krzyża na Piaskach, w lewo koło lasu, potem krzyżując drogę do Kolonii Robotniczej i dalej tą piaszczystą drogą, którą chodził z ojcem w roku 1940. Dotarł do domu Jarugów i opowiedział, jak wygląda sytuacja. Umieszczono go w tym schowku na strychu, w którym kiedyś przebywał z Mateuszem, co teraz uważał za przesadną ostrożność. Profesor Jaruga doradzał, żeby matka Angusa za kilka dni poszła do szkoły i, zależnie od sytuacji, albo szukała tam syna, a jeżeli będzie spokój, zgłosiła jego wyjazd i poprosiła o zaświadczenie z I klasy lic, gdyż może być potrzebne do przeniesienia się. Jutro Mateusz miał ją powiadomić, czy w szkole miały miejsce jakieś poszukiwania. Profesor obiecał sam zająć się świadectwem, jednak uważał za konieczne, żeby matka osobiście zjawiła się w szkole i najlepiej poprosiła od razu o duplikat na wszelki wypadek, a potem sama je odebrała.

Angus pierwotnie miał zamiar następnego dnia pójść pieszo aż do Starachowic i tam szukać sposobności dalszej podróży. Ale tu dowiedział się, że podobno ludzie wskakują do pociągów, transportów wojskowych, na moście Romanowskim. Most, wysadzony przez Niemców prowizorycznie naprawiono, raczej połatano, pociągi przejeżdżały powoli i ostrożnie. Oczywiście, na most nie było wolno wejść, stały tam posterunki z bronią, ale można było wskoczyć albo przed mostem, albo za nim. Przy jasnym dniu, widać to było aż od skraju lasu koło szosy. To dobry pomysł, o wiele lepszy, niż pętanie się po stacji, gdzie można spodziewać się kontroli.

Wczesnym rankiem 4 maja Angus, nakarmiony i zaopatrzony przez Panią Jaruzyną w taki sobie, mały, ale dosyć ciężki zapasik na drogę, ruszył na Romanów. Stanowczo nie zgodził się, żeby Mateusz go odprowadzał, nie było sensu, żeby ktoś jeszcze ryzykował. Na miejscu za mostem już kręciło się paru ludzi, Angus zatrzymał się na pewien dystans od nich i tak czekał ze dwie godziny. Wreszcie pociąg przejechał most i zaczął przyśpieszać. Angus przyglądał się, jak inni wskakują do pociągu, bo jeszcze nie znał techniki. Okazało się też, że stanął trochę za daleko, pociąg zdążył już zwiększyć szybkość. Angus skoczył i nie mając doświadczenia nie trafił

dobrze. Upadł na ziemię, ale na szczęście nie pod koła, lecz skulnął się ze wzniesienia nasypu. Kiedy się pozbierał, mijał go już koniec pociągu, więc pobiegł ostro i rzucił się na ostatni stopień ostatniego wagonu. Tym razem zaczepił się, a po chwili kilka rąk podciągnęło go do góry. Znalazł się na długiej, płaskiej platformie, której środek zajęty był przez coś zakrytego plandekami i okręconego sznurem, a na początku i końcu siedzieli ludzie. Jeden z nich poinformował go, że gdy przyjdzie żołnierz rosyjski, należy dać dwadzieścia zł, nie mniej i nie więcej. To nie gwarantowało podróży, po drodze mogła się trafić kontrola, w takim wypadku pasażerów wyrzucano, musieli szukać innej okazji, ale na ogół można było jechać do końca trasy. A dokąd właściwie? Tego nikt nie wiedział. W każdym razie do Skarżyska, a potem się okaże.

Jazda przypominała Angusowi pociąg ewakuacyjny z 1939r. A kiedy zapłacił żołnierzowi, coś mu strzeliło do głowy i zapytał, czy mógłby usiąść na samym przedzie, przed lokomotywą. Żołnierz wzruszył ramionami i powiedział "możno", więc na najbliższym postoju pod semaforem, Angus pobiegł do przodu i po chwili siedział na blaszanym występie, jakby przejściu po ławeczce, przed kotłem parowozu. Kiedy pociąg ruszył, okazało się, że nie był to najmądrzejszy pomysł, dmuchało, z przodu zimno, a w plecy nieznośnie grzało, ale widok i wrażenia warte były niewygody. Jakby leciał nad przesuwającym się torem, wzrok sięgał daleko do przodu. Oddalał się z każdą chwilą od Ostrowca, teraz był jak anonimowa kropla w płynącej rzece. Zmierzając do nowej przyszłości i postanowił po drodze nie szukać nowych kłopotów.

Do Poznania na pewno dotrze, już teraz miał to znane wrażenie, że jak kamień spada najkrótszą drogą do celu, to poczucie rzadko zawodziło. Powrót, w swoje strony. Co go tam czeka, czy pozostanie w Poznaniu i koło się zamknie, czy też będzie musiał podążyć dalej na „dziki zachód”, jak wówczas robiło wielu innych uciekinierów?

„Ziemie Piastowskie” lub „Odzyskane”, tam ukrywali się poszukiwani, a także wyjeżdżali ludzie, którzy mogli spodziewać się prześladowań, jak żołnierze AK. Parę tygodni temu, wyjechał dawny dowódca partyzancki, a ostatnio profesor Angusa, Alfons Wojszczyk (przejsiowo, nauczyciel kontraktowy w Liceum Ostrowieckim, patrz wyżej Rozdz. 15. i Rozdz. 12). Uczył tymczasowo. Jako inżynier mechanik przewidziany był i oczekiwał skierowania na Śląsk, także wolał zniknąć z Ostrowca. Ze swoją piękną przeszłością okupacyjną, prędzej czy później, musiał znaleźć się na celowniku UB. Dopiero ostatniego dnia przed wyjazdem, porozmawiał

krótko z Angusem. Oczywiście, poznał Angusa zaraz, gdy zobaczył go w klasie, ale uważał, że rozsądniej unikać widocznego kontaktu. Teraz pożegnali się, w czasie wspólnej przechadzki, przelotem. Jeżeli Angus też będzie musiał wyjeżdżać w pośpiechu, może odszukać go w nowym miejscu pracy, w razie potrzeby pomoże mu w znalezieniu ukrycia. Nazwa zakładu, gdzie obejmuje stanowisko, jest dość zabawna, (choć po latach, możliwa jest jakaś niedokładność), „**Herkules pod zarządem państwowym**”. Angus nie musi nic zapisywać, łatwo zapamiętać. Koło Gliwic.

\* \* \*

**K O N I E C**

(Dalsze dzieje w książce pt. "BEZNADZIEJNA SPRAWA")

Król Borys III, który naukę zakończył egzaminem dającym licencję maszynisty. Czasami prowadził dla przyjemności normalne pociągi **towarowe i pasażerskie**.

Wielbicielem **pociągu** był król **Bułgarii Borys III**, który sam chętnie **prowadził** lokomotywę Orient Expressu. Pozwalano mu na to w trakcie jazdy przez własny kraj

**król** Rumunii Ferdynand, był maszynistą kolejowym, prowadził przez Rumunię słynne z luksusu pociągi *Orient Express* na trasie Paryż - Konstantynopol i z powrotem